



DLA UCZCZENIA 36 ROCZNICY REWOLUCJI PAZDZIERNIKOWEJ

RADZIECCY BUDOWNICZOWIE PAŁACU KULTURY I NAUKI IM. JÓZEFA STALINA PODJĘLI ZOBOWIĄZANIA PRZEDTERMINOWEGO WYKONANIA PLANU MIESIĘCZNEGO. NOCNE ZDIECIE PAŁACU ZROBIONE ZOSTAŁO W OKRESIE, GDY UCZESTNICY WART STACHANOWSKICH PROWADZILI ROBOTY PRZY MONTAŻU 42-METROWEJ IGŁICY NA SZCZYCIE GŁACHU.

Fot. „Świat” — Jan Kosidowski



NA SZCZYCIE ZŁOCISTA KULA



GDZIE SPOJRZYSZ, WARSZAWSKIE ZAGŁĘBIE BUDOWLANE TĘTNI NIEUSTANNĄ PRACĄ...

W CHWILI, gdy weźmiesz ten numer do ręki Drogi Czytelniku, brygada Mirona Baczkowa zakończy montaż 41-metrowej iglicy. Z pomostu roboczego, otaczającego szczyt iglicy, jasnieje w jesiennym słońcu panorama Warszawy. Od zielonych Bielan po daleki Służewiec i od Żerania po Wolę warszawskie zagłębienie budowlane tętni nieustanną pracą. A nad wszystkim góruje złocista kula na szczycie Pałacu Kultury i Nauki, pałacu wieczystej przyjaźni radzieckiego i polskiego narodu.

Czwierć kilometra frontonu wzdłuż ulicy Marszałkowskiej, 200 tysięcy metrów sześciennych wykopanej ziemi, 70 tysięcy metrów sześciennych ułożonego betonu, 20 tysięcy ton stalowej konstrukcji, 30 milionów wmurowanych cegieł, 800 tysięcy metrów sześciennych kubatury, 66 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni lokali użytkowych — oto kilka zaledwie liczb, które mówią o ogromie Pałacu Kultury i Nauki, wspaniałego daru narodów Związku Radzieckiego dla narodu polskiego. Składa się nań olbrzymi wielomiesięczny wysiłek tysięcy ludzi radzieckich z Moskwy i Dniepropietrowska, Uralu i Donbasu.

5 kwietnia 1952 roku podpisana została umowa między Rządami ZSRR i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o budowie w Warszawie wysokościowego gmachu Pałacu Kultury i Nauki. Olbrzymie były trudności, jakie pokonać musieli budowniczowie Pałacu Przyjaźni. Przed dwoma laty tam, gdzie stanąć miał potężny gmach, tysiące ton gruzu pokrywały fundamenty zdruzgotanych przez hitlerowców domów. Przez długie tygodnie potężne spychacze i koparki wgrzyzały się w morze ruin. Wiele kłopotów sprawiała budowniczym obecność wody podskórnej, którą usuwać było trzeba specjalnymi pompami głębinowymi. Wreszcie 1 maja 1952 r. budowniczowie radzieccy rozpoczęli właściwą pracę wznoszenia Pałacu.

Gdy 21 lipca 1952 r. Wasyl Stupin zrzucił swym dźwigiem pierwsze pięć ton betonu na fundamenty, z niecierpliwością myśleliśmy o wiosnie roku 1954, kiedy w myśl harmonogramu stalowa iglica zwieńczyć miała potężną konstrukcję. Ale tempo pracy ludzi radzieckich wyprzedza harmonogramy. W pół roku przed ustalonym terminem, po szesnastu niespełna miesiącach od chwili rozpoczęcia budowy złocista szklana kula osiągnęła wysokość 227 metrów, czyli na nasz „przyjemny” rozum przełożywszy — wysokość 75 pięter.

Fot. K. Jarochoński

SWIAT NASZA KRONIKA

W JEDNYM ze swych wierszy pisał Broniewski:

„Październik — drzwi otwarte”.

Ludzie Rosji, robotnicy i chłopci w roku 1917 otworzyli sobie i innym narodom drzwi wiodące w przyszłość. Ten śmiały i bohaterstwo czyn prowadził do budowy nowego ustroju, do budowy socjalizmu. Czy będzie ten socjalizm zrealizowany? Jakiego będą jego formy? Jakiego będzie życie człowieka w socjalizmie? Te pytania zawisły na ustach milionów wówczas, gdy władza carów i burżuazji legła w gruzach.

Dzieci urodzone w 1917 są dopiero dojrzałymi ludźmi w średnim wieku, a odpowiedź na te pytania już została udzielona. Krócej niż w ciągu jednego życia ludzkiego dokonano zmiany godnej wieków. I to nie w spokoju, nie w ciszy, nie w zadumie. O nie — w boju, w zamęcie, w wichurze — w ogniu wojny domowej, wśród najcięższych zmagania się z dywersją wroga, wśród groźnego otoczenia kapitalistycznego, w zmaganiach z faszyzmem, wśród trudów usuwania zniszczeń, gruzów i pogorzeliśk i budowania na nowo. Trzydzieści sześć lat, a w nich dziesięć lat wojen i odbudowy. I mimo tego wszystkiego socjalizm dziś w Związku Radzieckim to drzewo pięknie i dostatnie owocujące dla wszystkich.

STAL i węgiel, ciężki przemysł stworzył podstawę szerokiego podniesienia i coraz większego podnoszenia poziomu życia ludzi radzieckich. Z hut i kopalń, z fabryk i potężnych elektrowni przyszedł socjalizm do mieszkań ludzkich jako dostatnie, mądre, kulturalne życie nowego człowieka. A nic co ludzkie socjalizmowi nie jest obce.

„Kucharz jest u nas — mówił niedawno A. I. Mikoja — jednym z najbardziej odpowiedzialnych pracowników żywienia zbiorowego, a zawód kucharza — to jeden z najbardziej zaszczytnych i poważanych zawodów, po-

nieważ od codziennej pracy kucharza bezpośrednio w dużym stopniu zależy zdrowie i zdolność do pracy wielu milionów ludzi”.

Tak jest, bo socjalizm to właśnie żeby ludzie więcej, lepiej i zdrowiej jedli, dobrze się ubierali, dobrze mieszkali, kształcili się, rozwijali kulturalnie i coraz lepiej pracowali. Często wymieniamy szlachetne organy naszego ciała — mózg i serce. Nie zapominajmy, że bez dobrej pracy żołądka marna byłaby praca szlachetnych siedzib myśli i uczuć ludzkich. A kucharz dla żołądka pracuje, więc tym samym i dla mózgu i dla serca.

Socjalizm nie odwraca się od żadnych potrzeb ludzkich, podnosząc je i coraz bardziej rozwijając:

„Wracając ze sklepu — mówił Mikoja — człowiek radziecki winien być w dobrym humorze z powodu pomyślnych zakupów, jakości i wyglądu estetycznego nabytych towarów, musi on mieć pewność, że w domu jego zakupy sprawią przyjemność członkom rodziny, zarówno dorosłym, jak i dzieciom...”

TA sprawa kucharza, żeby ją tak nazwać, to ważna sprawa. Niedawne obliczenia dowiodły, że 60 procent ludności świata nie dojada, że ich dzienne pożywienie posiada zaledwie po 2.200 kalorii. Średnia długość życia tych ludzi wynosi 30 lat, a są kraje, gdzie, jak na przykład w Indiach, wynosi ona jeszcze mniej. Tak wyglądają skutki panowania imperializmu. Te kalorie ukradzione milionom ludzi zamieniają się w dolary.

Omawiając nowe zadania handlu radzieckiego Mikoja mówił:

„Poważnie zwiększona zostanie produkcja takich przedmiotów kuchennych, jak noży do obierania ziemniaków, przyborów do szatkowania jarzyn, maszynek do krajania chleba, przyborów do mycia naczyń, garnków i czajników elektrycznych. Niektórzy sceptycy,

zwłaszcza spośród ludzi złośliwych, powiedzą: i czym też chcą zadziwić świat. Rzecz jasna, rozmiarami produkcji maszyn do prania, odkurzaczy czy lodówek nie zamierzamy na razie nikogo zadziwiać. Dopiero zorganizowaliśmy tę sprawę. Ale tempo, w jakim będziemy nadrobić zaniedbania, wprawi chyba w podziw każdego sceptyka...”

Bolszewicy zadziwili świat budową nowego ustroju, zwycięstwem nad wrogami, którzy wydawali się niepokonanymi, zadziwili świat stworzeniem nowego życia. Nie dali się zdystansować przez świat kapitalistyczny w rozwoju nauki i techniki, zdobywając rewelacyjne sukcesy w dziedzinie opanowania i zastosowania energii atomowej. Możemy ufać bolszewikom, że kiedy zapowiadają zaspokojenie potrzeb także i w dziedzinie narzędzi domowego, kuchennego użytku — na pewno dotrzymają słowa. Ten, kto — przenośnie i dosłownie — góry przenosi, na pewno potrafi przenieść puchową pierzynę.

RZECZ w tym, iż liczby charakteryzujące gospodarkę obu światów — socjalistycznego i kapitalistycznego — są zupełnie różne. Pierwsze rosną, drugie maleją. To jest istota naszych czasów. Ustrój kapitalistyczny wędnie i usycha, socjalistyczny rośnie, rozkwita i owocuje.

Związek Radziecki, potężne państwo robotników i chłopów, zwycięskie w wojnie i w pokoju, przystępuje na najszerszym froncie do jeszcze lepszego zaspokajania potrzeb ludzkich. Partia i władza radziecka uparcie, wnioskując z całości życia, dążą do podnoszenia życia ludzkiego na najwyższy poziom.

„W sprawie tak pierwszorzędnej wagi — pisała „Prawda” w artykule wstępnym z 3 września rb. — jak polepszenie bytu mas pracujących, nie ma i nie może być spraw drobnych; wszystko tu jest ważne, wszystko ma znaczenie. Trzeba interesować się pracą łaźni, pralni, fryzjerni. Czas skończyć z istniejącym jeszcze gdzieś formalistycznym, urzędniczo-biurokratycznym stosunkiem do zagadnień bytu ludzi radzieckich, wyciągać za uszko na słowność tych, którzy tracą z pola widzenia te sprawy, nie zajmują się nimi bezpośrednio...”

Znając partię bolszewicką z historii,

możemy być pewni, że wszystkie te zadania będą wykonane. Będzie odkurzacz i lodówek dostateczna ilość. Sceptycy będą musieli wynaleźć inne tematy do narzekania, do niewczesnych żartów. Pomyślnie sobie zresztą, że wcale nie stało się tak źle, że władza radziecka ustaliła taką kolejność problemów, że dziś dopiero te lodówki i odkurzacze wchodzi na porządek dzienny. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby tak na przykład nie w lodówkach i w odkurzaczach, ale w broni atomowej dał się Związek Radziecki wyprzedzić wrogiem! Kolejność rzeczy też została mądrze pomyślana.

PRZED trzydziestoma sześcioma laty w ówczesnym Petersburgu zwyciężyła Rewolucja. Jest Rewolucja wiecznie żywa, ma bowiem ścisły związek z życiem narodów i z życiem poszczególnych jednostek. Myśleć o znaczeniu tej Rewolucji, doceniać jej znaczenie znaczy to myśleć patriotycznie, myśleć o swoim narodzie i myśleć o sobie.

Znaczenie Rewolucji Październikowej! Przemyśnij ocy i pomyśl! Pomyśl, czym byłby nasz naród, czym ty byś był, gdyby nie tamci robotnicy, żołnierze, chłopci i marynarze, szturmujący po bohaterku Pałac Zimowy, gdyby nie ich przywódczyni — partia bolszewicka? Pomyślnie i wyobraźmy sobie, że nie było Rewolucji Październikowej. Czym byłaby Polska, rzucona na łup imperializmu i niemieckiego faszyzmu. Bylibyśmy w najlepszym razie narodem niewolników, siłą roboczą kapitalistów niemieckich, rosyjskich, amerykańskich, francuskich, angielskich. Bylibyśmy kolonią, w której ład utrzymywany by był tak jak ład utrzymywali hitlerowcy, jak utrzymują go imperjaliści w Kenii czy w Gujanie — przy pomocy terroru i obozów koncentracyjnych.

A ty, ty sam człowieku, robotniku, chłopie, członku spółdzielni produkcyjnej, nauczycielu, uczniu, pisarzu, inteligencji pracującej! Pomyśl o sobie, o swojej roli, która cię ominęła, w warunkach ustroju miotanego kryzysami, ustroju bezrobocia, nędzy, bezdomności. Pomyśl o swojej roli i swego narodu w innych warunkach historycznych — gdy władza dyktatorska, okrutna, bez-



A NAD WSZYSTKIM GÓRUJE ZŁOCISTA KULA PAŁACU KULTURY I NAUKI.

żadnych ograniczeń znajduje się w rękach żądnych zysków monopolistów. Czyż to nie byłyby czasy owej londyńskiej „żelaznej stopy”? Pomyślcie nad sytuacją bezbronných ludów, pozostawionych sam na sam z imperialistycznymi, faszystowskimi władcami, uzbrojonymi w bomby atomowe i wodorrowe i wszystkie najbardziej nowoczesne środki militarne.

To wielkie szczęście ludzkości, że Rewolucja Październikowa o chwilę wyprzedziła tak olbrzymi rozwój środków walki. To wielkie szczęście ludzkości, że pierwsza rewolucja socjalistyczna dokonała się w tak ogromnym, zasobnym w bogactwa naturalne kraju, mającym tak wspaniałe możliwości rozwoju gospodarki socjalistycznej.

To Rewolucja Październikowa sprawiła, że oto ludzkość nie stoi bezbronna wobec swych imperialistycznych prześladowców. Że nasz glob nie stanowi wyłącznej własności monopolu, ani też w całości terenu dla ich działalności. Rewolucja Październikowa przyniosła pierwszą zasadniczą, decydującą zmianę w układzie sił. Kapitalizm przestał być wyłącznym właścicielem i panem ziemi z jej dwoma miliardami ludzi.

CZEŚĆ ludzkości w największym trudzie, w walce i zmaganiach najwyższej miary stwarzała reszcie świata przykład nowego życia, nowego układu społeczeństwa, nowego ukształtowania stosunków międzyludzkich i międzynarodowych. Droga, która przed narodami Rosji otworzyła się za otwartymi drzwiami Października, nie była łatwa. My dziś idziemy po tej samej drodze do socjalizmu, ale idziemy śladem wielkich pionierów, śladem tych radzieckich najpierwszych z pierwszych, którzy nie tylko dla siebie tworzyli i budowali, ale i innym wskazywali drogę i drogę tę przygotowywali.

Drzwi Października stoją szeroko przed narodami otwarte. Wejść w nie — to nie taka najłatwiejsza sprawa. Imperializm trzyma swoje narody w ciężkiej niewoli. Niewolę tę obalili szeregi narodów Europy, obalili naród chiński. Do drzwi Października garną się ucie-

mieżeni, walczący całego świata. Biję z nich bowiem wspaniałe światło wielkiej prawdy, światło nadziei, światło wspaniałej przyszłości.

Wyzwolenie ludów, pokój, wyzwolenie człowieka — najpiękniejsze ideały ludzkie mają swoje imię. Na imię im — Październik. Ten ponury, dżdżysty miesiąc był prawdziwym majem ludzkości. W bólach i w męce rodzi się człowiek. W bólach i w męce rodził się wówczas na ulicach Petersburga nowy świat.

Im więcej narasta lat między nami a Październikiem 1917 roku, tym nabiera on większego blasku. Dlatego, że dzieło Października spełnia się ciągle, że dzieło Października rozwija się — i w samym Związku Radzieckim i na całym świecie. W różnych sposobach, w różnych warunkach, ale spełnia się, doskonale, rozwija...

Sprawa socjalizmu rośnie różnymi sposobami: sprawa socjalizmu to zarówno walka uciemiężonych jeszcze ludów w Azji, Afryce i w Ameryce. To czynny protest mas w zachodniej Europie przeciwko nędzy i przygotowaniom wojennym, jak i budowa w Polsce czy w Chinach nowego domu czy nowej fabryki. Socjalizm to bowiem sprawa ludzka, najbardziej ludzka i jedynie ludzka.

Od sprawy człowieka wyszedł, ze sprawy ludzi wyszedł i tylko w związku ze wszystkimi ludzkimi sprawami rośnie i potężnieje. Imperializm, kapitalizm to znaczy spisek przeciwko człowiekowi, walka o zysk bez zwracania uwagi na ludzką nędzę, poniewierkę, głód i śmierć. Socjalizm — to znaczy zawsze czujna troska o ludzkie sprawy. Ci, co szturmowali Pałac Zimowy, ci, co rzyli armaty z „Aurory”, ci, co kierowali powstaniem petersburskim myśleli o sobie, myśleli o swych dzieciach i żonach, o braciach z miast i wsi Rosji i całego świata. Dziś ich czyn daje wspaniałe rezultaty.

Gdy dziś w Polsce buduje się nowe życie, gdy to życie staje się z dnia na dzień lepsze, pamiętaj: to dzięki Październikowi masz to wszystko — Ojczyznę, dom, pracę i wolność. Masz szczęście życia w epoce budowania socjalizmu. Będziesz miał życie coraz lepsze, coraz piękniejsze.

JAN SZELAĞ

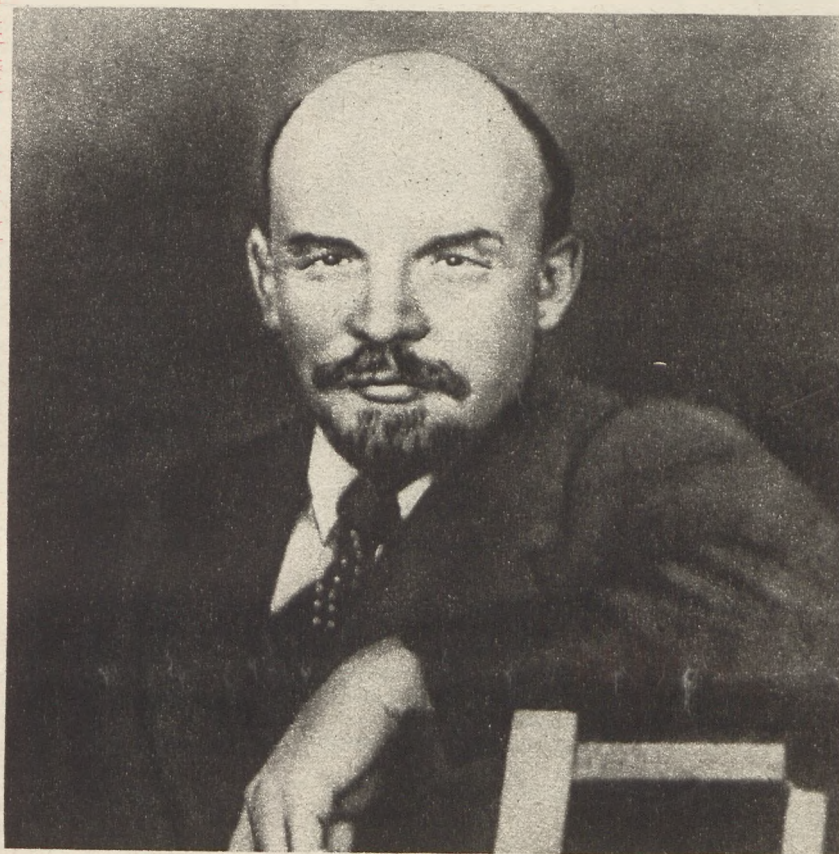
Niech żyje XXXVI rocznica Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej!

Przypływ rewolucyjny narastał.

Nastąpił okres ożywienia i odnowienia Rad, okres bolszewizacji Rad. Fabryki, oddziały wojskowe, wybierające na nowo swych delegatów, posyłały do Rad zamiast mieniszewików i eserowców, przedstawicieli partii bolszewickiej. Nazajutrz po zwycięstwie nad kornilowszczyzną, w dniu 31 sierpnia (13 września), Rada Piotrogradzka wypowiada się za polityką bolszewików. Dawne mieniszewicko-eserowskie prezydium Rady Piotrogradzkiej z Czcheidzem na czele podaje się do dymisji opróżniając miejsce dla bolszewików. 5 (18) września przechodzi na stronę bolszewików Moskiewska Rada Delegatów Robotniczych. Eserowsko-mieniszewickie Prezydium Rady Moskiewskiej również podaje się do dymisji zwalniając drogę dla bolszewików.

(„Historia WKP(b)”, str. 229)

13
IX
1917



Po uzyskaniu większości w obu stołecznych Radach Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, bolszewicy mogą i muszą wziąć władzę państwową w swoje ręce.

Mogą, albowiem aktywna większość rewolucyjnych elementów ludu obydwu stolic wystarcza, aby porwać masy, pokonać opór nieprzyjaciela, rozbić go, zdobyć władzę i utrzymać ją. Albowiem proponując niezwłocznie demokratyczny pokój, przekazując niezwłocznie ziemię chłopom, przywracając demokratyczne instytucje i swobody, zdeptyane i rozbite przez Kiereńskiego, bolszewicy utworzą taki rząd, którego nikt nie obali.

W. I. LENIN

(Z listu do KC, Komitetu Piotrogradzkiego i Komitetu Moskiewskiego SDPRR)

Rząd
do bogaczy
ogonem
merda.
Co?
Będziemy go uznawali?!
Wal ich!!!
Ten pomruk
dobywał się
szmerem
i grzmiotem
spoza
kiereńskich
więziennych krat.
W fabrykach
stałą zębatek grzechotał,
Docierał
po tropach
do wiejskich chat.
Cudze
partie
puszczali z kwitkiem.
Co za pociecha
z sejmu kumoszek?!
I obracały się
za bolszewikiem
głosy
i siły,
i grosze.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI
(z poematu „Dobrze”)

Po rozgromieniu kor-niłowszczyzny miensze-wicy i eserowcy zrobili jeszcze jedną próbę osłabienia narastające-go przypływu rewolucyjnego. W tym celu 12 (23) września 1917 ro-ku zwołali oni Ogólnoro-syjską Radę Demo-kratyczną, składającą się z przedstawicieli partii socjalistycznych, ugodowych Rad, zwią-zków zawodowych, ziemstw, sfer handlowo-przemysłowych i od-działów wojskowych. Rada wyłoniła Przed-parlament (Tymczasowa Rada Republiki). Ugodowcy sądzili, że przy pomo-cy Przedparlamentu powstrzymają pochód rewolu-cji i zawrócą kraj z drogi rewolucji radzieckiej na drogę rozwoju burżuazyjno-konstytucyjnego, na drogę parlamentaryzmu burżuazyjnego. Lecz była to beznadziejna próba zbankrutowanych polityków, usiłujących obrócić wstecz koło rewolucji.
(„Historia WKP(b)” str. 230)

25
IX
1917

BRACIA JEDNEGO SZTAN

TADEUSZ RADWAŃSKI



Narada Demokratyczna nie reprezentuje większości rewolucyjnego ludu, lecz jedynie ugodową, drobnoburżuazyjną górę. Narada Demokratyczna oszukuje chłopstwo, nie dając mu ani pokoju, ani ziemi. Jedynie rząd bolszewicki zaspokoi chłopstwo.

W. I. LENIN

(z Listu do KC, Komitetu Piotrogrodzkiego i Ko-mitetu Moskiewskiego SDPRR)

7 października w Pałacu Maryjskim rozpoczął obrady Przedparlament. Na posiedzeniu inaugura-cyjnym byli obecni przedstawiciele instytucji spo-łecznych, przybyli także ministrowie i wyżsi urzęd-nicy. Miejsca z prawej strony i pośrodku zajęli ka-deci. Bogaci kupcy moskiewscy, wielcy przemy-słowcy petersburscy, obszarnicy z prowincji, ku-lacy i kamienicznicy — mają wyrokować o „losach rewolucji”. Wśród nich słuźalczo kręca się miensze-wicy i eserowcy. Wszyscy oni razem niespokoj-nie i gniewnie spoglądają na ławy po lewej stro-nie, gdzie usadowili się bolszewicy.

Posiedzenie zagaja Kiereński. Powitany oklaska-mi prawicy i centrum, Kiereński podniesionym gło-siem uskarża się, że nikt nie słucha jego rozkazów, że armię opanowali bolszewicy.

„Nudnie i długo ciągną się wybory sekretarzy i ich zastępców. W tym samym czasie „wodzowie” Przedparlamentu naradzają się, jak zapobiec wy-stąpieniu bolszewików na posiedzeniu. Bolszewicy uporczywie domagają się udzielenia im głosu dla ogłoszenia swojej deklaracji. Wreszcie, po wielo-krotnie powtórzonym żądaniu, Awksjentjew udzie-la głosu przedstawicielowi frakcji bolszewickiej. Deklaracja bolszewików doprowadza posłów bur-żuazyjnych i ugodowych do wściekłości. Charakte-rystyka dana przez bolszewików rządowi Kiereń-skiego, jako „rządowi zdrajców ludu”, doprowadza ich do pasji. Hałasują, przeszkadzają bolszewikom w odczytaniu deklaracji.

— Precz z trybuny — krzyczą rozjuszeni kadeci — Milczcie, Kiszki — Burzyski! — odpowia-dają im z ław bolszewickich.

Kooperatyści z wykrzywionymi z wściekłości twarzami, kadeci z rad miejskich, rozłoszczeni z powodu ich zdemaskowania, ugodowcy z od dawna już nie wybieranych ponownie Komitetów Wyko-nawczych wyskakują ze swolch miejsc, z podnie-sionymi pięściami rzucają się ku trybunie. Pod gradem głośnych obelg i zniewag ze strony kade-tów i „obrońców” bolszewicy po ogłoszeniu dekla-racji opuszczają salę.

— Szczęśliwej drogi! — rozlega się jakiś złośliwy i drwiący głos.

— Jeszcze się zobaczymy! — proroczo odpowia-dają bolszewicy.

Komitet Centralny przełamiał opór sabotażystów. Partia zerwała z Przedparlamentem, w którym kor-niłowcy pod osłoną ugodowców przygotowy-wali atak przeciw rewolucji. Robotnicy i masy pra-cujące zrozumieeli, że nie czas na luzne pokojowe. Jedynie ofiarna walka mogła rozstrzygnąć o lo-sach rewolucji.

(„Dzieje wojny domowej w ZSRR” t. II, str. 38)

Tadeusz Radwański — autor niniejszych wspomnień, jest weteranem polskiego ruchu robotniczego. Od roku 1900 był członkiem SDKPiL, brał udział w akcjach rewolucyj-nych 1905 roku. W okresie Rewolucji Październikowej wal-czył o utrwalenie władzy Rad. Czynny jest przy organi-zowaniu polskich oddziałów rewolucyjnych, walczących o zwycięstwo proletariatu. Był również publicystą SDKPiL, pisywał do postępowego „Głosu” warszawskiego, który w latach 1901—1905 zbliżył się do SDKPiL-u i chętnie udzie-lał swych kolumn jej publicystom. W okresie międzywo-jennym Radwański był działaczem KPP i publicystą pra-sy komunistycznej.

Wspomnienia Tadeusza Radwańskiego obejmują lata 1905—1901. Był to okres trzech kolejnych, po sobie nastę-pujących, strajków murarzy warszawskich.

Kryzys przemysłowy targa imperium rosyjskim. W wie-lu ośrodkach przemysłowych Rosji wybuchają raz po raz strajki. Robotnicy żądają poprawy warunków mate-rialnych, praw, wolności. Ruszyły potężne masy chłopskie na Uralu i nad Wołgą. Zapłonęły dwory obszarnicze.

W ślad za proletariatem rosyjskim ruszyła do walki pol-ska klasa robotnicza. Zastrajkowali włókniarze Białegosto-ku, Łodzi, Częstochowy, strajkują metalowcy. Pierwszego Maja 1903 roku dochodzi w Warszawie do licznych starć z policją i kozakami. Był to „ponury dzień dla caratu, wspaniały dzień dla bliskiego tryumfu wolności politycz-nej i socjalizmu” — pisał organ SDKPiL — „Czerwony Sztandar”. Na czele rewolucyjnych robotników polskich stanęła SDKPiL, partia sojuszu z rewolucją rosyjską, wy-chowująca masy robotnicze w duchu internacjonalizmu, w duchu przyjaźni i współdziałania z bratnim rosyjskim ruchem robotniczym, jedyna partia, walcząca o praw-dziwe wyzwolenie narodu polskiego. Partia Róży Luksem-burg, Juliana Marchlewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego wskazała klasie robotniczej jej naturalnego sprzymierzeń-ca, braci jednego sztandaru. „Niech polski lud roboczy — głosiła jedna z odezw SDKPiL — ręką w rękę z ludem pracującym całej Rosji, pod wspólnym sztandarem socjal-nej demokracji powstanie przeciw carskiemu rządowi...”

Stumilowymi krokami zbliżała się rewolucja, nadciągala burzliwie i groźnie.

Wrzenie strajkowe ogarnia coraz to nowe gałęzie prze-mysłu. Po włókniarzach i metalowcach przyszła kolej na murarzy. Dwa strajki o charakterze ostrzegawczym, pierw-szy w roku 1903, drugi w kwietniu roku 1904, wykazały, że budowniczych Warszawy stać na wielką i bojową akcję polityczną. Strajkujący wyszli na ulicę domagając się praw. Po dwudziestu sześciu dniach trwania strajku przed-siębiorcy i władze carskie musieli się ugiąć i pójść na ustępstwa. Solidarność zatriumfowała!

Strajk zorganizowała i przeprowadziła SDKPiL. Autor wspomnień działał z ramienia partii w akcji strajkowej murarzy. Murarze nie ograniczyli się do żądań ekonomicz-nych; ich wystąpienie przekształciło się w potężną akcję polityczną. Strajkujący wyszli na ulicę domagając się praw. Po dwudziestu sześciu dniach trwania strajku przed-siębiorcy i władze carskie musieli się ugiąć i pójść na ustępstwa. Solidarność zatriumfowała!

Wielu sprzymierzeńców zdobyli w tych dniach murarze warszawscy. Ich sympatykom poświęca autor wspomnień sporo miejsca.

Namiętnymi pomocnikami socjaldemokratów i walczą-cych robotników byli gazeciarze warszawscy, kolporterzy prasy SDKPiL. Wyrastali i dojrzewali z gazetami rewolu-cyjnymi pod pachą. Wielu, wielu z nich zginęło w cyrku-lach policyjnych pod kolbami karabinów i buclerami żoł-dackimi.

Mikołaj Drugi i Ostatni nieraz wyrażał życzenie, aby murarze warszawscy zbudowali mu w swym mieście trze-cią stolicę jego imperium.

Stać się inaczej. W ciągu ubiegłych 30 lat burza rewo-lucji zmioła z powierzchni ziemi Romanówów i innych, a synowie rewolucyjnych murarzy warszawskich wnoszą dziś coraz to piękniejsze i okazalsze gmachy godne naszej epoki, godne miasta chwały narodowej, socjalistycznej Warszawy.

(J. K.)

SŁYNNY przed półwiekiem budowniczy, twórca Kanału Sueskiego, Lesseps, wróżył naszej stolicy, że za pięćdziesiąt lat będzie ona największym i najważniejszym miastem Europy środkowej. Na razie była ona wszakże miastem niezwykle — jak na swą ludność, liczącą mniej więcej tyleż stałych mieszkańców, co dzisiaj — małym. Na południu granicę jej oznaczały rogatki mokotowskie (zachowany po dziś dzień budynek poborcy podatku rogatkowego na Placu Unii Lubelskiej) i belwederskie — tuż przy początku wąskotorowej kolejki, skąd ku Alejom Ujazdowskim prowadzi-ła obok Pałacu Belwederskiego wąska, zabrukowana „kocimi łbami” uliczka, tak stroma, że wspięcie się nią na rowerze było wyczynem sportowym, godnym braci Barańskich, najsłynniejszych cyklistów owych lat.

Na zachód — rogatki Jerozolimskie, Wolskie i Górczewskie, leżące na linii ulicy Okopowej. Na północ — rogatki Powązkow-skie, Muranowskie oraz Cytadela, stojąca tuż za dworcem kolejowym, dziś zwanym Gdańskim, wówczas zaś Nadwiślańskim. Prawobrzeżną część Warszawy — Pragę ograniczała od północy linia kolejowa do Mławy, na południu miasto nie sięgało nawet do (nieistniejącego jeszcze) mostu Poniatowskiego. Saska Kępa była podówczas swego rodzaju lunaparkiem, podzielonym na kilka dziesiątków ogródków piwnych, z huśtawkami, karuzelami, pokazami wędrownych magików oraz innych tego po-kroju artystów.

Na wschód — Bródno, zarówno Stare jak Nowe, leżały daleko poza granicami miasta, podobnie jak Grochów. Poza tymi granicami budować powyżej jednego piętra nie było wolno. Wzbraniały tego władze wojskowe, ponieważ ota-czające Warszawę forty chciały mieć nieskrępowaną zabudowaniami możliwość wzajemnego ostrzału artyleryjskiego na wy-padek ewentualnego zajęcia jednego z tych fortów przez wojska nieprzyjacielskie.

Na obszarze — mierzac „na oko” — mniej więcej dziesięć kilometrów od dzisiejszego, tramwaj, ciągnięty przez jedne-go konia, biegnącego zwałowym truchtem, stanowił względnie wystarczający środek masowej komunikacji miejskiej.

Pozostawił on, niestety, zbyt duży ślad w zbiorowej psychologii warszawiaków, w postaci zwyczajów wakowania i wyaka-kiwania z tramwaju podczas biegu. Wtedy było to całkiem bezpieczne i praktyczne, szczególnie — na przykład — dla sprze-dawców gazet, których większość umiała nawet przeskakować przy mijaniu się dwóch tramwajów, biegnących po równole-głych szynach w strony przeciwe, z jednego na drugi. Ten wyczyn lekkoatletyczny posiadał, mówiąc nawiasem, ogromną wartość społeczną — polityczną, umożliwiając znakomicie wymykanie się pościgowi „hintów” (łapaczy policyjnych) przy kolportażu ulicznym literatury nielegalnej, który już wtedy zaczynał się rozwijać.

Chłopcy, sprzedający codziennie gazety warszawskie, z największą ochotą brali do kolportażu „Czerwony Sztandar”, gdy się tylko nowy numer tego pisma „podziemnego” ukazał na mieście.

Ulicznik warszawski owego czasu był żywiołowym rewolucjonistą z pewnością w niemniejszej mierze, niż „gamin de Paris” jeszcze o drugie pół wieku dawniej, acz nie ma on dotychczas swego Victora Hugo, który by go należałoby uwiecznić dla wdzięcznej pamięci pokoleń następujących.

W zwycięstwach wielu bitew rewolucyjnych proletariatu Warszawy sprawna, zawsze gotowa a nieulekła po-moc chłopców-gazeciarzy odegrała rolę ogromną, niekiedy decydującą, a ocenianą bodaj jedynie przez doświad-czonych organizatorów walki rewolucyjnej.

Jednym z takich uliczników warszawskich był syn towarzysza „Gruchy”; ojciec murarz, wybitny działacz organizacji warszawskiej Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, zarekomendował mi go jako „łobu-żalaka spod ciemnej gwiazdy”. Dodał przy tym, już półgłosem, aby przedstawiony w ten sposób dodatkowego komentarza nie słyszał: „Ale to nie szkodzi. Będą z niego ludzie. Ja też nie jestem święty”.

W rzeczy samej, z pewnością dużo łatwiej było zostać świętym rybakom znad jeziora Genezareth niż murarzowi war-szawskiemu. Zarówno ze względu na warunki pracy, jak — i to szczególnie — ze względu na warunki mieszkaniowe.

Nie trudno uwziąć sobie zresztą, jakie mogły być warunki mieszkaniowe ogromnej większości mieszkańców Warsza-wy pięćdziesiąt lat temu, przy dziesięciokrotnie mniejszym obszarze miasta, a mniej więcej tej samej liczbie mieszkańców. A i ten iluściupki obszar ówczesny Warszawy dopiero się zabudowywał. Ot, na przykład, na ulicy Marszałkowskiej, już od ulicy Pięknej ku rogatkom, po obu stronach ciągnęły się przeważnie parkany, odgradzające od chodników systemu klawiszowego puste place lub ogrody.

System klawiszowy polegał na tym, że na poprzecznych belkach, umocowanych co kilka metrów pomiędzy parkanem, względnie ścianą domu, a rowem, dzielącym chodnik od jezdni — leżały odpowiedniej długości deski, doskonale zbalansowane na takiej belce. Gdy w porze deszczowej rowy, kiedy indziej ślicznie zastępujące uliczne zieleńce, były pełne wody, nie brakło jej też — rzecz naturalna — pod owymi deskami. Wstępując z jednej deski na drugą, przechodząc swym ciężarem podnosił dość wysoko drugi koniec deski, który — po dojeździe przechodnia do środka — automatycznie opuszczał się, dając w rezultacie strzelistą fontannę, no i beztępiemu przysniedzała przechodnia. W wypadku, gdy przechodniem tym był spieszący do roboty lub z roboty murarz, był to zarazem jedyny rodzaj kąpiel, z jakiego mógł on korzystać, gdyż o przysniedzac łazienko-wego typu ani na budowach, ani w mieszkaniach robotniczych podówczas nawet nie marzyło się.

Murarze mieszkali przeważnie jeszcze o wiele gorzej od innych robotników warszawskich — niemal wyłąc-znie w suterrenach, „kątem”, gdy byli nie żonaci, lub odnajmując kąty swej piwnicznej izby sublokatorom, gdy byli ojcami rodziny.

W takiej izbie, nie wyższej nad dwa metry, z okienkiem z sześciu szybek wielkości 20 × 20 centymetrów każda, pod samym sufitem, a na poziomie chodnika ulicznego, żyło — a raczej gnęło i dusiło się — nieraz do trzydziestu istot ludzkich.

Murarz-czeladnika, zarabiającego nie więcej niż dwa ruble dziennie, a częściej dużo mniej, przez sezon hu-dowlany, trwający najwyżej siedem do ośmiu miesięcy w ciągu roku, na lepsze mieszkanie nie było stać.

Nie próżnowali oczywiście przez długie miesiące przymusowego bezrobocia w swoim zawodzie.

W listopadzie prawie każdy murarz obchodził ulice z wielką szatkownicą do kapusty, kiszzonej przez gospoście mieszkań wielopokojowych, posiadające piwnice własne.

Po tym parotygodniowym najwyżej sezonie dodatkowym w przemyśle żywnościowym mieli zatrudnienie zarobkowe już tylko ci spośród murarzy, którzy posiadali znaczniejsze uzdolnienia artystyczne.

Przygotowywali oni na okres świąt Bożego Narodzenia i karnawału „szopkę kra-kowską z dekoracjami” — przenośny teatrzyk kukielkowy, z którym obchodzili miasto, dając na zamówienie przedstawienia dla dzieci w mieszkaniach albo i na kłatkach schodowych. Proszę wziąć pod uwagę, że było to nie tylko źródło dochodu dla architekta, dekoratora teatralnego, rzeźbiarza główek kukielkowych, krawca teatralnego, autora libretta, reżysera i wielogłosowego wykonawcy ról w jednej osobie, lecz zarazem dzielna propaganda co najmniej antymonarchistyczna.

Towarzysze nasi, którzy — podobnie jak wspomniany wyżej „Grucha” — chadzali regularnie z szopką, o ile nie siedzieli w więzieniu, umieli wkładać w zmianiane co roku kuplety scen z królem Herodem, Małgorzatą, która tańczyła z huzarami i in., składających się na godzinną albo i dłuższą treść przedstawienia — mocną, aktualną treść rewolucyjną, socjalistyczną i narodowo-wyzwoleńczą, wymykającą się — jak cały ten lekceważony przez głupią władzę teatr ludowy — przed surową cenzurą, ciężącą nad wszelką inną twórczością artystyczną i literacką.

Po Środzie Popielcowej, w Wielkim Poście, ci murarze-artysty brali się do magii — białej i czarnej. W zakresie białej magii odlewali z cukru z krocmałem paranki wielkanocne, bez których nie odbywał się żaden stół ze „święconiem”.

Z dziedziny czarnej magii fabrykowali przeróżne przyrządy do zadziwiających sztuk magicznych, pokazywanych przez sztubaków, a nieraz i przez dorosłych magików-amatorów, według podręcznika „Bosko Czarnoksiężnik” i z własnej inwencji w tej dziedzinie „wiedzy tajemnej”.

Znakomitym, pełnym inwencji magikiem był — między innymi — wspomniany towarzysz „Grucha”. Przydało mu się to bardzo w kilka lat później, gdy za swą działalność rewolucyjną w rewolucji 1905 r. skazany został na zesłanie na daleką północ imperium carskiego. Znalazł wtedy i możliwość zarobkowania i znaczną swobodę ruchu. Wielka Rewolucja Październikowa roku 1917 powołała go do szeregów Armii Czerwonej. W szeregach tych poległ śmiercią bohaterską pod Syzranem w boju z białogwardziściami.

Wyrabiali też podczas wielkopostnego martwego sezonu murarze warszawscy różne drewniane zabawki dla dzieci do sklepów. Pamiętam z czasów mego własnego dzieciństwa jedną z takich zabawek, kupionych dla mnie. Był to drewniany Niemiec szeroko otwierający za odpowiednim pociągnięciem deszczułki, na której go zmontowano, żarłoczną gębę. Gdy miałem dostać jakieś szczególnie nieprzyjemne lekarstwo, wlewałem mu najpierw jedną łyżeczkę w otwartą gębę, co mi znacznie osładzało gorzki połykanego przeze mnie paskudztwa. Skoro mój Niemiec się na nie nie krzywił, to już i mnie nie wypadało...

Dodatkowe dochody, powyżej wspomniane, pozwalały opędzać jako tako koszty utrzymania na poziomie mieszkaniowym — sutereny, a żywnościowych — „mularskiej pieczeni” — jak nazywano w owych czasach wątrobę wołową, która kosztowała czterokrotnie taniej od innego mięsa wołowego, „hycla”, czyli najtańszego gatunku salcesonu, biorącego swą nazwę od domniemanego źródła surowca, a nawet parówek i serdelków, głośno reklamowanych przez ulicznych sprzedawców tych specjalów w przyspiewce: „Choć z kota, ale dobra robota”. Murarz musi stać jadać mięso, inaczej nie wydoła pracy. Kartofle i kapusta też nie mało kosztują.

Koniec końców, doszło się do przeświadczenia, że nie da rady bez strajku.

Balszy ciąg nastąpi

PRZEDSWIATECZNI KOLPORTERZY SZTUKI

W. Wojtkiewicz (1902)



Drodzy towarzysze, wydarzenia tak jasno nakreślają nam nasze zadanie, że zwiekanie staje się bezwzględnie zbrodnią.

Ruch agrarny narasta. Rząd wzmaga dzikie represje, w wojsku sympatie dla nas rosną (w Moskwie 99% głosów żołnierzy za nami, fińskie wojska i flota są przeciwko rządowi, oto ogólne relacje Dubasowa o froncie).

W Niemczech początek rewolucji jest wyraźny, zwłaszcza po masakrze. Wybory w Moskwie — 47% bolszewików — olbrzymie zwycięstwo. Wraz z lewicowymi eserowcami stanowimy wyraźną większość.

...Zwiekanie — to zbrodnia. Czekanie na zjazd Rad — to dziecięca zabawa, formalność, haniebna zabawa w formalność, zdrada rewolucji.

...Jeżeli nawet Kiereński ma pod Pitrzem jeden czy dwa korpusy konnicy, będzie się musiał poddać. Rada Peterska może przeczekać, agituując za moskiewskim rządem radzieckim. Hasło: władza Radom, ziemia chłopom, pokój narodom, chleb głodnym.

Zwycięstwo jest zapewnione i istnieje dalekie dziesiątych prawdopodobieństwa, że bez przelewu krwi.

Czekać, to zbrodnia wobec rewolucji.

Pozdrowienie

N. LENIN

(Z listu do Komitetu Centralnego, Komitetu Moskiewskiego, Komitetu Piotrogrodzkiego oraz do bolszewików — członków Rad Pitra i Moskwy).



Falszywa legitymacja na nazwisko K. P. Iwanowa, której używał Włodzimierz Lenin w okresie ukrывania się.

Po otrzymaniu tego listu Komitet Centralny 3 października postanowił zaważać Lenina do Piotrogradu, aby być z nim w stałej i ścisłej łączności.

...Otrzymałszy uchwałę Komitetu Centralnego, wzywającą go do Piotrogradu, Włodzimierz Iljicz postanowił udać się pociągiem do stacji Rajwoła na granicy fińskiej, a stamtąd raz jeszcze na parowozie tego samego maszynisty Jajawa — do stacji Udełnaja.

Lenina znów ucharakteryzowano i przebrano. 7 października o godz. 2 min. 25 Lenin i Rachja wsiadli do pociągu. Umówili się, że nie wejdą do wagonu, lecz pozostaną na pomoście. Mieli ze sobą rozmawiać po fińsku, a Lenin powinien tylko od czasu do czasu odpowiadać jednosylabowym „ja” albo „fej”, co oznaczało „tak” — „nie”.

W wagonie panował wielki tłok. Rachja, jak było umówione, zaczął mówić po fińsku. Lenin odpowiadał naopak: tam, gdzie należało powiedzieć „tak”, robił przeczący ruch głową, a gdzie należało powiedzieć „nie”, odpowiadał krótko „tak”.

Do Rajwoły jednak dojechali szczęśliwie. Po wyjściu z wagonu Lenin poszedł wzdłuż toru kolejowego jakieś półtora kilometra od miejsca, gdzie Jajawa ładował drzewo na parowóz. Włodzimierz Iljicz schował się w krzakach, Rachja zaś wszedł na parowóz. Jajawa z trwogą szepnął mu, że, jak mu się zdaje, jacyś dwaj osobnicy obserwują parowóz. Wobec tego poradził im pójść torem w kierunku stacji, on zaś już ich dogoni. Lenin tak też uczynił. Do odejścia pociągu pozostawała jedna minuta, ale Jajawa wciąż jeszcze nie było. Wreszcie ukazała się szybko mknąca lokomotywa. Jajawa gwałtownie zahamował i Lenin wszedł na parowóz. Maszynista spokojnie przytrzymał parowóz do pociągu.

„Dzieje wojny domowej w ZSRR” str. 32 i 34

W kabinie lokomotywy czuje się już bliskość Piotrogradu. Maszynista z nateżeniem wpatruje się w ciemność.

Wasyli podaje Leninowi rewolwer:

— Włodzimierz Iljiczu, weźcie browningi!

— Nie, nie wezmę! Partia poleciła wam dostawić mnie w całkowitym porządku, więc dostawiajcie.

— W takim razie odejdziecie od okna — żąda stanowczo Wasyli.

— Proszę bardzo...

Pociąg dojeżdża do peronu.

Wzdłuż całej jego długości ustawieni są w dwuszeru junkrzy. Jeszcze pociąg nie stanął, a już rzucają się ku wszystkim platformom, wskazują na stopnie.

— Przygotować dokumenty!

— Wasze papiery!

Hałas, głosy protestu. Dokumenty sprawdza się na całej stacji.

Spekulanci chowają się lękliwie, ale zauważywszy, że poszukiwania nie dotyczą żywności zjawiają się na platformach i chętnie wyciągają swoje dokumenty. Gwar. Zamęt. Krzyki kobiece.

Wasyli, zeskoczywszy z lokomotywy, odczepia ją z pośpiechem. Lokomotywa z miejsca nabiera pędu.

Wasyli biegnie za nią, wskazuje na stopień i zaraz potem słychać gwizd.

Junkrzy gonią lokomotywę, która jednak szybko uchodzi dalej wprzód, w ciemność.

W pewnej odległości od stacji lokomotywa hamuje pęd. Gdzieś, poza nią, w dali słychać gwizdki junkrów.

— Przybyliśmy — powiada staruszek maszynista.

Lenin ścisła mu rękę:

— Serdeczne dzięki, towarzyszu!

Lenin i Wasyli schodzą na puste tory i znikają w ciemności.

(Ze scenariusza M. Romma „Lenin w Październiku”)

16
X
1917

Droga do punktu wymiany... Wszystko, co stamtąd odrzuca się precz na ostatnim etapie jenieckiej poniewierki.

PAK IL SONG WRÓCIŁ Z KOŻE-DO

Opowiadanie jeńca

Korespondencja własna „Świata“

Phenian, we wrześniu.

NA PUNKCIE wymiany jeńców w Panmundżon rzędem stały podstawione sanitarki i samochody. Szare mundury chińskich i koreańskich żołnierzy mieszały się z białymi kitlami lekarzy i sanitariuszek.

Droga, którą mieli przybyć, była jeszcze pusta. Tuż obok bramy powitalnej czernił się w ostrym słońcu jakiś przedmiot. To na ostatnim metrze powrotnej drogi do ojczyzny leżała porzucona przez jeńca proteza. Sztuczna noga, którą Amerykanie dali w zamian za własną, rozerwaną przez amerykański granat. Obok poniewierał się w kurzu nienawistny łach — amerykański mundur przydzielany w niewoli. W tym nie wraca się do domu. Wszystko, co stamtąd, odrzuca się precz na ostatnim etapie jenieckiej poniewierki. Choćby i protezę. Z amerykańskiej ciężarówki, przez bramę, do swoich, przeniosą towarzysze.

Na drodze podnosi się kurz. Jadą. Zapowiada ich jednak nie tylko zbliżający się szary obłok. Jak zwykle, już z daleka słychać urywane, gardłowe dźwięki kantaty o Kim Ir Senie. Kolumnę otwierają i zamykają MP na jeepach. Dziś po raz ostatni eskortują tych koreańskich chłopców. Tu nie mogą już zdusić tej pieśni, której nie rozumieją i której się boją, nie mogą wyrwać z rąk tych niepozornych, wyblakłych i postrzępionych flag, które zostały z serdeczną troską i pomyślnością przygotowane specjalnie na ten dzień, gdzieś za zasiekami Koże-do czy Czedzu-do, pod wieczne szperającym okiem strażników obozowych.

Stoją rzędem na samochodach w wojskowym szyku, bosi, w samej bieleźnie. Ich mundury i buty powiększyły stertę innych, zaśmiecających drogę do punktu wymiany.

Do samochodów podchodzą oficerowie koreańscy i chińscy: „Witajcie w ojczyźnie!“

Na stojącym najbliżej nas samochodzie jeden z jeńców pochyła nagle głowę. Bezdźwięczny płacz wstrząsa jego drobnym, wyschniętym ciałem. Niezgrabnie zasłania oczy trzymaną w ręku chorągiewką. Dobrze, uspokajające łyż wiążają w postrzępiony kawałek płótna umocowany do amerykańskiej szczotki do zębów; farbą uzyskaną z czerwonego pudelka chińskich papierosów i z kopiowego obłoków wymalowane na płótnie barwy Koreańskiej Republiki Ludowej.

Pak Il Song wrócił do Ojczyzny. Pak Il Song wrócił z Koże-do...

„do“ — znaczy po koreańsku wyspa. Koże jest wyspą szczególnie piękną: zielone pasmo wzgórz oblane trzema morzami.

Wzrok ludzki jest niedoskonały, z daleka wygląda to romantycznie i baśniowo. Z bliska nie widzi się już gór, tylko czołgi na górach z łufami skierowanymi w dół na obozy jenieckie. Błękitne, migotliwe morze zostało pod amerykańskim zarządem przeobrażone w ruchnącą zatokę, do której uchodzą wszystkie kanały i ścieki. Koże-do z bliska, to przede wszystkim druty i zasieki. Można by chyba drutami z tej jednej wyspy opasać całą kulę ziemską. Każdy podobóz ogrodzony jest potrójnymi zasiekami, każde przejście wewnątrz jest wąską uliczką między drutami. Każdy rewir (kilka bloków jenieckich) odgradzony jest od drugiego podwójnymi zasiekami i zazwyczaj jeszcze rowem z wodą. Wieże strażnicze zanurzone są w kłębiastej płataninie drutów, wchodzi się na nie po opuszczonej drabinie. Aż dziw, że i blok nie został wewnątrz przedzielony zasiekami na przegródki — osobno dla każdego jeńca...

A więc jeszcze blok: żółta, udeptana glina, z boku pas ułożonych na niej desek, cienki amerykański koc. I to wszystko. Koże-do widziana z bliska.

Ta wyspa brutalnej przemocy i zadziwiającego ludzkiego hartu stawała się jednak szczególnie upiorna

wówczas, gdy płatanina drutów ożywała. Kiedy strażnicy z wyszytymi na rękawach żółtymi tarczami, na których szczyty zęby czarny psi łeb, rozbiegali się po obozie, wiadomo było, że zbliża się szczególnie zła chwila: gaz, bicie, rewizja.

Koszmarne były kożedowskie dni i noce. W pewnym okresie nie wolno było jeńcom chodzić nocą do latriny. Dyżentaria jest jednak silniejsza niż zakazy. Często rozlegały się wówczas nocą strzały w obozie. Wielu towarzyszy nie wróciło już nigdy do bloku.

Jednym z najcięższych przestępstw był na Koże-do śpiew. Pieśń sprowadzała na jeńców granaty gazowe, kolby karabinów na grzbiety, okaleczenia, śmierć.

Strachem i nienawiścią napawał zaocenicznymi „wyzwoliciele“ na rozkraczonych nogach widok tych udręczonych bezbronnymi postaciami w żołnierskich czapkach sporządzonych z koszul, z pięciopięcienną gwiazdą wyciętą z puszki od konserw, śpiewających spokojnie przez kolczaste zasieki pieśń o swej ojczyźnie i o swoim wodzu. Pieśń oznaczała w języku władz obozowych „komunistyczną demonstrację“. Jakies nieuchwytnie niebezpieczeństwo, coś w rodzaju krwawego spisku, który w każdej chwili może rozerwać skomplikowaną konstrukcję zasieków i wysadzić w powietrze tę przekłętą wyspę razem z jej nieproszonymi panami.

Była w tym pewna doza racji. Ta niepokonana pieśń rozszerzająca się, podchwytywana przez coraz dalsze rewiry była demonstracją siły, symbolem idei, której nie można ujarzmić kolbami ani gazem.

Willi Bredel, opisując w jednej ze swoich książek widok jeńców hitlerowskich idących do niewoli, spotkanych przez niego w czasie ostatniej wojny w Związku Radzieckim, pisze:

„Niezmienne powtarzający się obraz: obdarci, wycieńczeni, apatyczni, tepe spojrzenie i każdy zajęty tylko swym losem. Tak wloką się jeden za drugim. W twarzach ich wyczytać można trwogę lub obojętność, a częściej jeszcze beznadziejność... Nie dźwigają, co prawda, ciężkich łańcuchów, ale uginają się pod niewidocznym ciężarem; nie są otoczeni masą groźnie napierającej gawiedzi, a jednak głowy ich są opuszczone. To, co wyrażają te postacie i twarze, wzbudza we mnie wstyd. Bo jeżeli teraz zdają sobie sprawę ze swej winy, byli jej świadomi również przedtem i tą winą są bezwzględnie obciążeni. Bojownicy słusznej sprawy zachowują nawet w nieszczęściu godną postawę“.

Żołnierze Koreańskiej Armii Ludowej zachowali do końca swej katongi postawę więcej niż godną, postawę spokojnego nieugiętego bohaterstwa.

27 lipca zamilkły strzały nad Koreą. Po trzech krwawych latach przyszedł do umęczonego Kraju Porannej Świeżości — pokój. Ale nie oznaczał on jeszcze końca okrucieństw w obozach jenieckich.

W swoim czasie na Koże-do zezwolono jeńcom wybrać spośród siebie starszych bloków. Wybierano najlepszych, najofiarniejszych towarzyszy. Po kilku dniach ci ledwie wybrani reprezentanci zostali w nocy uprowadzeni i nigdy już więcej nie wrócili. 9 sierpnia cały obóz stanął do walki o odzyskanie uprowadzonych towarzyszy.

Switem, kiedy mleczna mgła kładła się jeszcze na barakach, wyciągnięto ze schowków, znanych tylko jeńcom, broń: broń, która nie rani ciała, ale wymierzona jest w świadomość ludzi winnych — flagi i transparenty. Nie były to wesołe, barwne i łopocące płótna, które widzi się na radosnych manifestacjach ludowych. Były to transparenty, pod jakimi wychodzą do walki ludzie, których nie jest w stanie złamać najkrwawszy terror: pociełe amerykańskie koce — na nich hasła wypisane proszkiem do zębów — i zsyte jenieckie koszule wypisane krwią. Transparenty wypłynęły z mgły razem z pieśnią. Jeńcy siedzieli przed blokami. Skupione, kamienne twarze uniesione w górę, stęzale, niewidzące oczy utkwione daleko — tam, gdzie dom.

Rozpoczęła się walka kilku specjalnych kompanii uzbrojonego po zęby, wypaszonego żołdactwa, przeciw grupie wyniszczonych wielomiesięcznym przebywaniem w obozie zagłady więźniów. Wynik jej był z góry przesądzony.

„Zdjąć flagi i wynieść je na drogę!“ — taki był rozkaz.

„Barykadować wejścia do bloków!“ — taka była odpowiedź.

Żołnierze włożyli maski. A więc znowu gaz... Poleciały granaty. Zły, buri, gryzący dym dawał i oslepił. Zapuchnięte, zropiałe oczy na próżno starały się uchwycić promień światła. Wielu nie ujrzało go już nigdy, wielu nie zobaczyło najpiękniejszego obrazu: wyciągniętych powitalnie rąk w ojczyźnie. Stracili wzrok tego dnia. W dwa tygodnie po podpisaniu Układu o Rozjemie. Niejedni jeszcze raz zresztą, aż do ostatnich chwil repatriacji, obłok gazu pojawiał się wśród baraków jenieckich na Koże-do.

W końcu nadszedł jednak ten dzień. Pak Il Song wyszedł za druty. Pak Il Song wszedł na pokład okrętu. Przekłęta wyspa Koże oddalała się i rozpiływała w mgłę. I znów wyglądała z daleka jak przylądek dobrej nadziei. Ale Pak Il Song zna prawdę tej wyspy, prawdę, która jest zarazem prawdą tamtego obcego i wrogiego świata.

Pak wrócił do ojczyzny. Przywiózł ze sobą z Koże-do transparent, na którym jeńcy wypisali własną krwią: „Niech żyje moja ojczyzna, Koreańska Republika Ludowa“. Pak Il Song jest nauczycielem. Będzie uczył na tym transparentie czarnowłose, pucłowate dzieciaki miłości i nienawiści, czujności i nęstwa.

JAN WITKOWICZ

Zdjęcia z wymiany jeńców: autora. Zdjęcia z Koże-do uzyskał autor od jednego z żołnierzy amerykańskich.

29
X
1917

Aby sprawdzić przebieg przygotowań do powstania i uprzedzić o nim szersze koła pracowników partyjnych, Lenin polecił zwołać na dzień 16 (29) października posiedzenie członków Komitetu Centralnego wespół z przedstawicielami Komitetu Piotrogrodzkiego, organizacji wojskowej, Piotrogrodzkiej Rady Związków Zawodowych, komitetów fabrycznych, kolejarzy i Piotrogrodzkiego Komitetu Okręgowego. Liczono na udział około 30 towarzyszy. Dla tak znacznego zebrania konspiracyjnego bardzo trudno było znaleźć odpowiedni lokal. Dopomógł w tym M. Kalinin. Był on wówczas przewodniczącym zarządu miejskiego dzielnicy Leśnej i udzielił na posiedzenie pokoju w domu rady miejskiej, która znajdowała się w willi na ulicy Bołotnej w dzielnicy Wybońskiej.

O godzinie 7 wieczór na posiedzenie przyszedł Lenin.

...Lenin usiadł na stołku, wyjął z kieszeni plik zapisanych arkusików papieru, szybko je przejrzał i rozpoczął referat. Odczytał rezolucję, uchwaloną przez Komitet Centralny partii bolszewickiej 10 października, i poinformował, że wypowiedziały się przeciwko niej tylko dwie osoby. W krótkich i zwięzłych słowach Lenin dał ocenę ogólnej sytuacji. Przytoczywszy dane cyfrowe o wyborach do rad miejskich Piotrogradu i Moskwy, wykazał, że masy popierały bolszewików jeszcze przed powstaniem kornilowców.

...Burżuazja zamierza oddać Piotrogród. Możemy go przed tym uchronić, jedynie biorąc go w swoje ręce. Ze wszystkiego tego wynika jasno, że na porządku dziennym staje owo powstanie zbrojne, o którym mowa jest w uchwale Komitetu Centralnego... Z politycznej analizy walki klasowej w Rosji i w Europie wynika konieczność najbardziej zdecydowanej, najaktywniejszej polityki, którą może być jedynie powstanie zbrojne — tak zakończył swój referat Lenin.

Wszyscy słuchali Lenina z zapartym oddechem. Kilka minut nikt nie zabierał głosu. Ale oto rozległ się spokojny, donośny głos Swierdłowa, proponującego przejście do referatów przedstawicieli z terenów. Pierwszy referował w imieniu sekretariatu Komitetu Centralnego Swierdłowa. Poinformował on o olbrzymim wzroście partii bolszewickiej, która liczyła już wówczas 400 tysięcy członków. W ogromnym stopniu wzrósł wpływ bolszewików w armii, we flocie i w Radach.

(„Dzieje wojny domowej w ZSRR“, t. II, str. 179, 171.)



Dom w dzielnicy Leśnej, gdzie odbyło się posiedzenie Komitetu Centralnego

...Czterechsettyśliczna armia bolszewików była rozmieszczona w kraju w sposób niezwykle pomysłowy. Podstawowe siły partii były, rzecz naturalna, skoncentrowane w obu stolicach — w Piotrogradzie w październiku było około 50 tysięcy członków partii, w Moskwie — ponad 20 tysięcy, razem zaś z całym obwodem — około 70 tysięcy. Uralaska organizacja partyjna liczyła ponad 30 tysięcy członków.

...Wielka organizacja bolszewicka istniała w Iwanowo-Woźniesjensku — 6 tysięcy członków. Saratowska organizacja partyjna liczyła 3.500 członków, Samarska — 4 tysiące, Niżnienowogorodzka — 3 tysiące, Carycyńska — około tysiąca, Kazańska — 650, Woroneska — 600 członków.

Pod kierownictwem Komitetu Centralnego partii bolszewickiej były w toku przygotowania do objęcia władzy w całym kraju. Pomimo ogromnych trudności i przesładowań ze strony Rządu Tymczasowego i jego organów łączność Komitetu Centralnego z terenem w dni przedpaździernikowe była świetnie zorganizowana.

(„Dzieje wojny domowej w ZSRR“, t. II, str. 52)

16(29) października odbyło się rozszerzone posiedzenie Komitetu Centralnego partii. Wybrano na nim Ośrodek Partyjny do kierowania powstaniem z tow. Stalinem na czele. Ten Ośrodek Partyjny był jądrem kierowniczym Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego przy Radzie Piotrogrodzkiej i w praktyce kierował całym powstaniem.

(„Historia WKP(b)“, str. 233)



A black and white woodcut illustration of a man in a patterned robe sitting at a table, eating. A dog is sitting on the floor next to him. The room has a patterned wall and a window with a lattice design.

[illegible]

Bog wielką pomoc ludzkom dał / si-
 3 ziebnojemu między nami tego towarzysztwa /
 4 tu pomaganiamu / zachowaniu / samą to rzecz
 5 świadczy. Ktorego towarzysztwa, niebrylu-
 6 dzie nigdy niechcieli rozzywać ani zergać / aleby
 7 y owsem oświadczyć wśladzić iędoim bręgniemu wielkie go
 8 cześć y wyżnności nieśliuac w sobie miuścił / rozumia-
 9 bym, że nie wiele cżłowiekowi nabosość do otrzymania tego
 10 biogoosławieństwa / ktore w tej śmierciłości cżłowiek omi-
 11 poddany mieć może. Ale pojażbiomoli lubzkie nieuasi-
 12 com / a frogie y ofratne popolewności serdecznej / sprawnia to /
 13 iż y potoin tak iako przyszei bronić / ani rzeczei mądrze w iędo-
 14 kum kśanie zachować / ani sywotom nażyć do nieubiepież-
 15 stwa y rozmaitych przysgod wolności yćnie / niemożemy.
 16 Do y boma / 4 w murzech y w których miuściu / wielki doły
 17 brania popanie zdrowim y mairu nościu namę : a po stronach
 18 żadui bywamy zagabani do nieprzeziaciół brzu nędzy przyna-
 19 cych / ktorei mairności nęże posied bca. Idzie tedy praw
 20 spisanu / y sabo w vsławiono / abyśmy sy wami do nędzy chędo-
 21 relow abo siozbaw domi bronić. fortyleżiż woznusi sy wy-
 22 mydłone / y broni mmożtu naprawuowano / ktoreabyśmy po-
 23 stronuym nieprzeziaciółom odpor dawali. Napraweżiż tedy nę-
 24 sie okazuie z kśoig w których poćzasi dawać opisanu / obyć-
 25 mi si

Postępowe poglądy Frycza zyskały mu zaszczytne przydomki „Ojca polskiej myśli demokratycznej”.



POLSKA LUDOWA z pietyzmem przejmuje puściznę postępowych tradycji Odrodzenia polskiego. Wyraża się to w odbudowie zabytków tej epoki w Warszawie, Gdańsku, Kazimierzu nad Wisłą, w Poznaniu, Szczecinie, w Brzegu na Dolnym Śląsku i innych miastach Polski, w licznych obchodach i uroczystościach ku czci czołowych postaci Odrodzenia polskiego, związanych z ich działalnością, we wznawianiu dawno wyczerpanych dzieł pisarzy tego okresu, w poświęconych ich twórczości rozprawach naukowych i zjazdach.

Zwywy stosunek narodu polskiego do dorobku i dążeń postępowych okresu Odrodzenia polskiego zawierają słowa, wypowiedziane przez Bolesława Bierutą:

Gorący zapal, który ożywił serca wielkich szermierzy nauki i kultury polskiej, nieśmiertelnych wychowawców narodu — Kopernika, Modrzewskiego... ich twórcza praca stanowi źródło naszej chwały ojczyznej.

(„Historia WKP(b)“ str. 234)

1
XI
1917



Oddziały, wierne Rządowi Tymczasowemu, ściagnięte przez Kiereńskiego z frontu.

dzyń-dzyń,
 don-don.
 (Z poematu W. Majakowskiego, Dobryś!)



*Junkrzy zakwaterowani w jednej z sal
Pałacu Zimowego*



Kobięcy batalion szturmowy przed
Palacem Zimowym

Ba!
Starczy jedna kozacka papacha —
powypuszczamy bebechy...“
I wciąż adiutant
cheche

kapitan i chacha,
chacha
i cheche.
„Przypadnijcie
i bądźcie wy
trzykroć przekłęcia!
Panie adiutancie,
ucha pan nachyli:
jego
...kselencja
...nerał
Kaledin,
z Donu,
z różeczką.
Pan wie,
czym to pachnie?
Jego ekselencja...
I chyba jedyny on?
Kozactwo kubańskie,
Dniepr,
Don...”
I ostrogami
ciągle
dyń i don,
kuflami —
dzyń-dzyń,
don-don.
(Z poematu W. Majakowskiego)

„MIKROPORY“ NA TAŚMIE

MIROSLAW AZEMBSKI

Zdjęcia: WIESŁAW PRAŻUCH

W celu mobilizacji mas robotniczych do walki partia bolszewików ogłosiła dzień 22 października „Dniem Rady Piotrogradzkiej“. Na ten sam dzień kontrrewolucja wyznaczyła procesję kozaków. W pułkach kozackich uwijali się agitatorzy rządu. Opowiadali kozakom, że bolszewicy umyślnie wybrali dzień 22 października, aby w ten sposób obrazić uczucia religijne wierzących. Podejrzane osobniki podjeżdżali kozaków przeciwko żołnierzom garnizonu. W cerkwiach wygłaszano pogromowe kazania.

4
XI
1917

Rząd Tymczasowy usiłował zmierzyć się siłami z rewolucją... Sprawę jednak rozstrzygnęli szeregowi kozacy. 21 października wieczorem na garnizonowym zebraniu komitetów pułkowych przedstawiciel 4 Dońskiego pułku kozaków złożył oświadczenie, że kozacy nie będą uczestniczyli w procesji.

Dzień 22 października stał się dniem przeglądu sił i gotowości proletariatu Piotrogradu do walki pod sztandarami bolszewików.



Gazeta „Raboczij Put“ z dnia 4 listopada

W oddziałach garnizonu i zakładach przemysłowych odbywały się liczne wiece. Wyniki tego dnia przeszły najśmielsze nawet oczekiwania. Na wiecu w domu ludowym było obecnych kilka tysięcy ludzi. Sala była przepełniona. Żołnierze dosłownie wisieli na belkach, pod samym sufitem. Tysiączne tłumy gromadziły się wokół teatru...

...Na wezwanie mówców-bolszewików wszyscy obecni, podniósłszy ręce w górę, przysięgli, że na pierwsze wezwanie Rady Piotrogradzkiej ruszą do decydującego boju z rządem burżuazji. Tak samo działo się w całym Piotrogradzie. Nie było ani jednej fabryki, nie było koszar, w których tego dnia nie odbywałyby się wiece...

(„Dzieje wojny domowej w ZSRR“ t. II str. 189-190)

Słabo oświetlona ogromna hala garażu wojskowego. Szeregi samochodów pancernych, żołnierze z karabinami, marynarze owinięci taśmami do kulmiotów. W powietrzu wisi szary dym z machorki. Wec w pełni. Stojąc na samochodach pancernych, przerywając jeden drugiemu, wygłaszają mowy: chorąży, żołnierze-eserowiec w binoklach i podoficer o koziej bródce.

— Panowie!...
— Obywateli!...
— Panowie!...
— Obywateli!...
— Przecież to samobójstwo! — przekrzykuje innych chorąży. — Przecież to hańba, jakiej nie znał naród rosyjski! Pamiętajcie o przyszłej złożonej Rzeczypospolitej Tymczasowej!
Na innym samochodzie — marynarz z „Aurory“ i Panasiuk.

— Wstyd, towarzysze, słuchać prowokatora! — Marynarz gwałtownie wyrzuca niedopałonego papierosa. — Wstyd!

Panasiuk również traci cierpliwość.
— Cały dzień słuchamy pyskaczy, a skutek żaden! — rzuca rozdrażniony i, zwracając się do marynarza, dodaje: — Idziemy!

Zeskakują z pancerk i przeciskają się przez tłum wzburzonych, sprzeczkujących się ludzi. Panasiuk podchodzi do Jerszowa i Georgija, woła do nich:

— Idziemy, Jegor, idziemy!
Prowadzi swoich towarzyszy do telefonu. Przytacza się do nich duża grupa żołnierzy. Panasiuk podnosi słuchawkę.

— Towarzyszu Stalin — mówi — u nas tu jakiś bałagan, jeden mówi tak, drugi owak... Mamy wystąpić z bronią, czy bez broni?
— Pytacie, co robić?

Chwila milczenia.
Stalin ma twarz poważną. Mówi, ważąc każde słowo:

— Słuchajcie więc. My na przykład — pracownicy prasy — mamy pióro zawsze ze sobą, przygotowane...

(Ze scenariusza M. Czaureli „Wielka zorza“)



Sprawdzanie przepustek przed Smolnym

POLITYKA Waszyngtonu wyprowadziła warszawskich bikiniarzy na manowce. Oczywiście nie w sposób bezpośredni, ale niejako drogą okrężną. Postuchajmy, jak do tego doszło.

Europa cierpi na brak skór podeszwowanych, których głównym producentem jest Ameryka Południowa. Na tamtejszych prerach pasą się wspaniałe woły, nie mające równych sobie nigdzie indziej — jest to rasa jak gdyby po to tylko stworzona, aby przekształcać się w solidne zelówki. Z wyliczeń waszyngtońskich kombinatorów — którzy, jak wiadomo, kontrolują południowo-amerykański rynek — wypadło, że jakoś korzystnie będzie tej skóry swoim europejskim sojusznikom nie dostawać. Francuzi, włoscy i angielscy „królowie butów“ doszli do wniosku, że nie od modawców nie wytargują, poszli po rozum do główki i ogłosili nową modę: buty na gumie indyjskiej, na tzw. słoninie.

Wielka moda i wielka reklama: okazało się, że wszyscy ministrowie, wybitni sportowcy, aktorzy, pisarze nie cierpią żadnych innych butów, noszą tylko gumę indyjską! Nasz rodzimi bikiniarze usłuchali głosu wielkiej mody: przywdziali buty na gumie indyjskiej. Fatalnie się na niej tańczy boogie-woogie, w lecie noga rozprąza się do ostatecznych granic, podczas deszczu łatwo poślizgnąć się i wywrócić koziółka — bikiniarze klną po cichu, ale noszą te buty z uśmiechem na ustach, bo tak nakazuje „dobry ton“ i „wielka moda“, za którą kryje się amerykański kant gospodarczy.

Przed naszym przemysłem obuwniczym — który z każdym dniem rozwija się na coraz szerszą skalę i toczy bohaterskie zmagania, aby zaspokoić wzrastającą potrzeby społeczeństwa — już kilka lat temu stanął problem skóry podeszwowanej. Jak ma wyglądać „obuwie przyszłości“, jeśli w poważnej części nie będzie produkowane na zelówkach ze skóry, jeśli chcemy uniknąć indyjskiej, a także zwykłej, tzw. protektorowanej gumy.

Laboratorium chemiczne Zakładów Obuwniczych w Otmęcie było miejscem niecodziennych doświadczeń. Zbierało się tam siedmiu ludzi, zespolonych jednym dążeniem: wypracowania metod produkcji obuwia na gumie mikroporowatej. Cóż to takiego?

Jest to guma, którą otrzymuje się po procesie podobnym do wyrastania ciasta. Płacek kauczuku, pomieszanego z kredą, parafiną i innymi dodatkami, poddany wysokiej temperaturze wypełnia się mikroskopijnymi pęcherzykami dwutlenku węgla, których istnienie zbawienne jest dla naszych stóp. Zelówka z takiej gumy jest, dzięki gazowej izolacji, złym przewodnikiem ciepła, co w praktyce oznacza, że noga w zimie nie marznie, a latem nie rozgrzewa się. Lżejsza nie tylko od gumy indyjskiej, ale także i od skóry (ciężar właściwy skóry 1,1 — gumy mikroporowatej 0,9), tania, miękka w chodzeniu i trwała — jak się to mówi, nie do zardcia — guma mikroporowata posiada przewagę nad każdym innym podeszwowym surowcem.

Jednym słowem będą z niej wymarzone buty. Ale jak ją wyprodukować?

Najpierw nie chciała rosnąć. Później rosła, ale okazała się za ciężka. Później stwierdzono, że jest za miękka. Jeszcze później dostatecznie rosła, nabrała odpowiedniej twardości i wagi, ale... plamała na biało (coś by za krzyk podniosły gospodynie strzegące swoich podłóg!). Wreszcie problem, czym ją przyszywać do buta i kleić... i tak dalej, i tak dalej.

Mijały nie przespane noce...

Otmęt jesienią roku 1953. Syrena zakładowa wypełnia swym głosem całą przyfabryczną osadę, jej echo dolatuje na drugi brzeg Odry, gdzie na wzniesieniu rozsiadło się kilkunastotysięczne miasto Krapkowice.

Przy bramie gromadzą się tłumy robotników. Przyjeżdżają promem z tamtego brzegu, autobusami z pobliskich miasteczek, przychodzą piechotą z osiedla, któremu z każdym miesiącem przybywa nowych mieszkańców.

Moment mijania bramy u niejednego przedwojennego pracownika tej fabryki wywołuje nieprzyjemne wspomnienia. Tutaj jawił się raz na kilka miesięcy pan tych terenów — Bata. Stał przy wejściu, obserwował nogi robotników, po czym z krzykiem rzucił się na takiego, który nie nosił obuwia jego firmy. Nie było tłumaczenia — precz z roboty! Ryczał, jak zarzynany wół. Trzeba było o te rzeczy dbać: wszakże zatrudniał tysiące pracowników, nie mógł lekceważyć takiej liczby odbiorców.

I dzisiaj kilku robotników, zanim pójdzie na oddział, wstępuje do gabinetu dyrektora technicznego, Gacha... zaprezentować swoje buty. Prócz dyrektora siedzą tam wianuszkami przy stole ludzie, którzy półtora roku temu przystąpili do doświadczeń nad gumą mikroporowatą. Są to już w tej chwili laureaci Nagrody Państwowej: Palla — szef produkcji Centralnego Zarządu Przemysłu Obuwniczego. Mucha — asystent produkcji z Południowych Zakładów Obuwniczych w Chełmku. Radwański — kierownik tutejszego laboratorium chemicznego i Józef Poznański z Ministerstwa Przemysłu Lekkiego. Wszyscy nagrodzeni za pracę, której efekty badają niemal codziennie.

— Pokażcie swoje zelówki. Jak się noszą?

— Jak dotychczas, dobrze.

Następują notatki, opisy obuwia, używanego tyle a tyle dni. Potem czas na dyskusję i wnioski.

Nie oznacza to przecież, że teraz czyni się pierwsze obserwacje; guma mikroporowata poddana była praktycznym próbom jeszcze przed wprowadzeniem do pro-

dukcji. Egzamin powyższy odbywa się tylko dlatego, że nagrodzony zespół nie spoczął na laurach i dalej ulepsza to, co stworzył: walczy o jeszcze mniejszy ciężar podeszwy, o lepsze kleje, ukończył właśnie z pomyslnym wynikiem doświadczenia nad produkcją gumy w kilkunastu kolorach.

— To wszystko, dziękujemy. Przyjdzie znowu za tydzień.

Dyrektor Gach odprowadza wzrokiem wychodzących robotników.

— To, że wystartowaliśmy z nową, masową produkcją, głównie im zawdzięczamy...

Było to bowiem na początku zagadnienie nieproste. Załoga Otmętu jest wysoko wykwalifikowana, ale kiedy na taśmę wchodzi nowa produkcja, nigdy nie wiadomo. Zakłady musiały wykonać plan ilościowy, nie mogły pozwolić sobie na zredukowanie produkcji, na którą czeka wiecznie chłonny rynek. A tu szczególnie trzeba było dokładności wykonania, wysokiej precyzji, czystości roboty. Sprawa wyglądała nieźle już w miesiącach letnich, a pełnego biegu nabrała jesienią.

Zbliżała się bowiem 36 rocznica Rewolucji Październikowej, rewolucji, której rezultaty każdy pracownik Otmętu wszędzie wokół siebie widzi. Nie zapominajmy, że Śląskie Zakłady Obuwia nazywały się kiedyś „Bata“, a od 1934 roku „Ota-Werke“. Ze z biegiem lat zmieniał się stosunek udziałów kapitału czeskiego, amerykańskiego i niemieckiego (Guarantee Trust Bank, Leader A. G., Bata, Mannkopf — oto współwłaściciele Otmętu), ale nędza robotnicza i wysysk zawsze pozostawały takie same. To ludzie tutejsi pamiętają, pracowali przecież w tamtych czasach. Mieszkali w batorskiej osadzie niczym kury w hodowlanej farmie: żywieni byle jak, mieli się tylko rozmnażać, aby dostarczyć jeszcze tańszej siły roboczej. I któż wie, jak długo by to trwało, gdyby nie fakt, że tacy jak oni robotnicy w niedalekiej Rosji własnymi rękoma zmienili bieg dziejów i zaczęli promieniować przykładem poza granice swego państwa.

Mówiono o tym wszystkim na masówce 1 października, podejmując zobowiązania, głównie w zakresie podnoszenia jakości. A pola do popisu, w związku właśnie z ową „mikrogumą“, nie brakło.

W dniu, w którym odwiedziliśmy zakłady, minęły dwa tygodnie od podjęcia zobowiązań. Jakość produkcji podniosła się o kilka procent, rosła oszczędność, ilość zawsze powyżej planu. Paweł Kopiec, Karol Garus, Alojzy Więcej przy szyciu i ćwiekowaniu przekraczają 150% normy. Inni już do nich dochodzą. Czy w pełni wykonają?

Zdarzył się w czasie naszej wizyty pewien fakt, który napełnił nas jak najlepszymi myślami. Majster Bula pokazywał nam prace przy taśmie:

— Tu się obciaga cholewki, tu się ćwiekuje, tu się klei, tu się czyści — żeby pracownika, który ten but założy, nie uwierzało, żeby mu się nie rozleciało...

Charakterystyczny był ten zwrot — o pracowniku. To już dobrze, jeśli robiąc buty tysiącami, robiąc je dla innych, pracownik Otmętu przymierza je jak gdyby na własną nogę... Oznacza to, że przejął się zasadą: „Jakie buty zrobisz — w takich będziesz chodząc“.

Urządzenia przypominające „dłabelski młyn“ — to prasa, w której



Robotnik, majster, technik — chcą tutaj uniknąć sytuacji, w jakiej znalazł się dyrektor fabryki butów „Pobieda” z komedii Mdiwaniego „Kto zwinął?”. Nieszczęsny dyrektor zmuszony był odbyć z żoną następującą rozmowę:

Kowrigin: ...Idź natychmiast do domu i powyrzucaj wszystkie pantofle, na których nie ma mojej marki...

Ksenia (wystraszona): A w czym ja będę chodziła?

Kowrigin (wściekły): W pantoflach fabryki „Pobieda”.

Ksenia: W nich nikt nie chodzi.

Kowrigin (krzyczy): To po jakie licho ja je robię?

Ksenia: Myślę... w ogóle... dla wykonania planu. Premię dostajesz za to...

A nie wyłącznie dla premii, nie dla formalnego wykonania planu dwoją swoje wysiłki pracownicy Otmętu w tych zobowiązaniowych dniach. Jest w tym coś więcej, coś takiego, co może dobrze pojąć tylko człowiek, który był robotnikiem u Baty i któremu Rewolucja odmieniła los.



Każdego dnia schodzi z taśmy poważna liczba butów na gumie mikroporowatej. Pakowane w olbrzymie pudła jadą do centralnych hurtowni.



...zasiedli przy stole wianuszkim spece od gumy mikroporowatej: (od lewej do prawej) Józef Poznański z Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, asystent produkcji gumy w Otmęcie — Bujał, szef produkcji Centralnego Zarządu Przemysłu Obuwniczego — Palla, asystent produkcji z zakładów w Chelmku — Mucha i kierownik laboratorium chemicznego w Otmęcie — Radwański. Badają próbki gumy kolorowej

spajana jest podeszwa gumowa z wewnętrzną zelówką skórzaną. Laboratorium zakładów prowadzi nieustannie badania w celu ulepszenia dotychczas używanych klejów.



O świcie 24 października (6 listopada) w drukarni centralnego organu partii bolszewickiej zjawił się komisarz policji 3 Różdlestwieskiego komisariatu i Junkrzy 2 szkoły Oranienburskiej. Przedstawiciel Rządu Tymczasowego pokazał wydany przez dowódcę wojsk Okręgu Piotrogrodzkiego nakaz zamknięcia drukarni i zawieszenia gazet „Raboczyj Put” i „Sołdat”. Robotnicy wręcz oświadczyli, że nie zaprzestaną drukowania gazet. Redaktor techniczny powiedział, że uznaje rozkazy i rozporządzenia jedynie z podpisem Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego i odmówił podporządkowania się nakazowi. Oddział junkrów obsadził wszystkie wejścia i wyjścia z drukarni.

Zaczynał się dzień. Dochodziła szósta. Robotnicy spieszyli do fabryk. Wieść o zajęciu drukarni rozniosła się w dzielnicy. Wokół drukarni zaczęły się gromadzić wzburzone tłumy, które otoczyły junkrów. W tłumie znajdowali się czerwonogwardziści z najbliższych fabryk. Jeden z nich zatelefonował do komitetu partyjnego bolszewików z dzielnicy Różdlestwieskiej i zawiadomił, że junkrzy demoluja drukarnię. Partyjny organizator dzielnicy — tak nazywali się w owym czasie sekretarze komitetów dzielnicowych — Mieszczeriakow, poinformował o tym członków bolszewickiego komitetu dzielnicowego. Telefonicznie uprzedzono Stalina — redaktora gazety.

Trwóży głos zameldował:
— Junkrzy demoluja „Prawdę”.

— Dużo ich jest?
— Niewielki oddział z oficerem na czele.

— Dobrze! Zaraz przyślę samochody pancerne.
Stalin polecił wysłać dwa samochody pancerne z oddziałem, który był całkowicie po stronie bolszewików.

...Junkrzy zdążyli przez ten czas rozbić stereotypy. Opieczętowali drukarnię gazety „Raboczyj Put”, skonfiskowali około 8 tysięcy gotowych egzemplarzy gazet i zabrali je do milicji. Rząd Tymczasowy wiedział, co robi. Właśnie w tym numerze gazety „Raboczyj Put” wydrukowane było wezwanie Stalina:

„W lutym żołnierze i robotnicy obalili carat, ale obalili go carat nie chcieli wziąć władzy w swoje ręce...

Błąd ten trzeba naprawić niezwłocznie. Nadeszła chwila, gdy dalsza zwłoka grozi zgubą całej sprawy rewolucji.

Trzeba obecny rząd obszar-

ników i kapitalistów zastąpić przez rząd robotników i chłopów...
To, czego nie zrobiono w lutym, trzeba zrobić teraz.
W ten sposób, i tylko w ten sposób można wywalczyć chleb, ziemię i wolność...
(„Dzieje wojny domowej w ZSRR” t. II, str. 203, 204)

Pokój komitetu wojskowo - rewolucyjnego. Jest to jedna z dawnych sypialni Instytutu Smolnego.

Za wysokimi oknami noc. Trwózne światło reflektorów. Odgłosy dalekiej kanonady. Przy ścianach zestawione karabiny, zwalone jakieś paki.
Pośrodku pokoju stół jaskrawo oświetlony lampą, nakrytą prostym blaszanym kłosem. Na stole — mapa, plan Piotrogradu.

Nad mapą pochyleni Lenin, Dzierżyński i Swierdłow. W głębi pokoju Stalin udziela wskazówek grupie marynarzy.

Z korytarza dochodzi gwar głosów i tupot nóg.
Przez tych kilka minut korytarz zmienił się nie do poznania. Nie ma w nim ani tłoku, ani bieganiny.

Uzbrojone oddziały marynarzy energicznie wybijają krok idą korytarzem ku wyjściu, niosąc własnoręcznie wykonane transparenty. Na czerwonych płachtach naprędce, bez żadnej troski o staranność i piękno, ale wyraźnie i krótko napisano: „Precz z burżuazyjnym Rządem Tymczasowym!” i „Pokoju, chleba, wolności!”
Smolny.

Jeszcze zupełnie niedawno napływały tu wzburzone tłumy. Teraz ze Smolnego w przestrzeń pietrogradzką wychodzą zwarte oddziały.

(Ze scenariusza M. Romma „Lenin w Październiku”)



Czerwonogwardziści fabryki „Wulkan” Patrole rewolucyjne na ulicach Piotrogradu

Po bulwarze idzie generał przebrany po cywilnemu. W rękę ma walizkę; widocznie nie mógł doczekać się w domu, kiedy przyjadą po niego. Idzie, oglądając się na wszystkie strony, bojąc się własnego cienia.

Bulwarem jedzie samochód pancerny. Generał odskakuje w bok, przyciska się do węgła domu, zaklejonego odezwami i plakatami.

Panasiuk i towarzysze biegają wzdłuż bulwaru, rozmawiają z ożywieniem. Zatrzymują się na rogu, nie wiedzą, w którą stronę skręcić.

— Hej, wujku — pyta wesoło Panasiuk — gdzie ulica Morska?

— Tam, dalej... — ledwie wydusza z siebie generał.

Panasiuk pragnie, by w tak historyczną noc i ów cichy staruszek był równie szczerzy jak on — żołnierz Panasiuk. Przyjaźnie poklepuje generała po ramieniu, pokazuje mu swój karabin:

— A ty czego stoisz? Bierz karabin, walcz o nowe życie!

Uśmiecha się, biegnie dalej, w ślad za swoimi towarzyszami.

Na rogu zatrzymuje się limuzyna. Wychyla się z niej lśniąca twarz lekarza wojskowego.

— Wasza wysokość, prosimy...

Generał podnosi stojącą na chodniku walizkę, wciska ją do przepełnionego samochodu i wsiada sam.

— Dobry wieczór — mówi głucho — a raczej niedobry wieczór...

Samochód nabiera szybkości.

(Ze scenariusza M. Czajkowskiego „Wielka zorza”)

Niesłychane, piorunujące wiadomości dobiegają nas z Rosji! W Petersburgu zwyciężyła klasa robotnicza! Rząd burżuazyjny zmieciony, dyktatura proletariatu stała się faktem... Przez pół roku rządów burżuazyjnych proletariat nie doczekał się chleba i pokoju, dziś bierze je sobie sam dłonią zwycięzcy...

Chwała towarzyszom rosyjskim, którzy pierwsi tę walkę podejmują!
(Z odezwy ZG SDKPiL z listopada 1917 r. — „Rewolucja proletariacka w Rosji”)

24.00 W Smolnym trwa odprawa do wódców Czerwonej Gwardii. Lenin, Stalin i Swierdłow udzielają ostatnim wskazówek delegatom rewolucyjnych oddziałów wojskowych, garnizonów, komitetów fabrycznych.

2.30 W Zakładach Pułkowskich — zbiórka czerwono-gwardzistów. W fabryce obuwia „Skorochod” trwa jeszcze wiec.

Czerwono-gwardziści dzielnicę Wyborskiej obsadzają dworzec Finlandzkiej i ze stocznicy zajmują pocztę.

1.25 Czerwono-gwardziści z dzielnicy Wyborskiej i ze stocznicy zajmują pocztę.

2.00 Dwa silne oddziały skombinowane opuszczają dworzec Finlandzkiej i Baltyckiej.

2.30 Kierunki z Pałacu Zimowego łączą się z Kwaterą Główną. Żąda przysłania posiłków z Frontu Północnego.

3.00 Rewolucyjny pułk Pawłowski obsadza ulicę Millionną. Żołnierze zatrzymują samochód z jenkami, jadącymi z Pałacu po posiłki.

3.30 „Aurora” zarzuca kotwice przy moście Mikołajewskim. Marynarze wypierają junkrów z mostu.

4.40 Czerwono-gwardziści fabryki „Ericsson” zajmują ujeżdżalnię.

5.00 Oddział marynarzy z grupą żołnierzy pułku Keksholmskiego zajmują Bank Państwa.

7.00 Czerwono-gwardziści i żołnierze odcinają stację telefoniczną, wyłączając Pałacu Zimowego.

8.00 Rewolucyjni marynarze obsadzają most Pałacowy.

10.00 Kierunki wysyła oficera po samochód. Oficer udaje się do poselstwa Stenów Zjednoczonych i uzyskuje obietnicę wypożyczenia samochodu z flagą amerykańską.

11.00 Posterunki rewolucyjne przepuszczają wyjeżdżający z Pałacu Zimowego samochód z flagą amerykańską — Kierunki ucieka z Piotrogradu. Stacjonujący w ujeżdżalni dywizjon samochodów pancernych przechodzi na stronę rewolucji.

12.00 Wojska Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego otaczają Pałac Maryjski, gdzie obraduje Przedparlament. Oddziały rewolucyjne nakazują posłom rozjechać się.

13.30 Wypadek kompanii podchorążych z Pałacu Zimowego w celu odbicia Pałacu Maryjskiego. Połowa kompanii zostaje rozbrojona przez czerwono-gwardzistów na ul. Gorochowej i Newskim Prospektie, reszta ucieka.

14.35 Rozpoczyna się nadzwyczajne posiedzenie Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Po raz pierwszy od lipca ukazują się publicznie Lenin, powitany owacyjnie przez delegatów.

17.00 Oddziały rewolucyjne zacieśniają pierścienie blokady wokół Pałacu Zimowego.

18.00 Komitet Wojskowo-Rewolucyjny kieruje ultimatum do Rządu Tymczasowego, żądając poddania się o godz. 18.30.

19.20 Rząd Tymczasowy prosi o zwłokę; porozumiewa się równocześnie z Kwaterą Główną (na Białorusi) przez jedyny niedotknięty kabel telefoniczny. Kozacy opuszczają Pałac Zimowy.

18.25 Czerwono-gwardziści zajmują sztab okręgu i rozbrajają znajdujących się tam junkrów. Wojska rewolucyjne wokół Pałacu zajmują pozycje wyjściowe do szturm.

19.00 Kwatera Główna obiecuje przysłanie posiłków. Rząd Tymczasowy odrzuca ultimatum.

19.30 Dywizjon artyleryjski, śpieszący na pomoc Rządowi, zostaje na ulicy Morskiej rozbrojony przez czerwono-gwardzistów.

21.00 Kierunki „Aurora” wyszła z działającą sygnal do szturm na Pałac Zimowy.

22.45 W Smolnym zostaje otwarty II Ogólnorosyjski Zjazd Rad.

23.00 Twierdza Pietropawłowska rozpoczyna ostrzelanie Pałacu Zimowego. Junkrzy odpierają bezpośrednie natarcie na główną bramę Pałacu.

NOC NA 8 LISTOPADA

0.30 Atak od flanków, walki w skrzydłach Pałacu.

1.30 Twierdza Pietropawłowska przerywa ogień; czerwono-gwardziści koncentrują się wokół kolumny Aleksandrowskiej do szturm frontального. Ogień z Pałacu słabnie.

2.00 Ostatni szturm — Pałac Zimowy zdobyty. Areszt Rządu Tymczasowego, rozbrojenie junkrów.

3.10 Obradujący II Zjazd Rad dowiaduje się o zdobyciu Pałacu Zimowego.

5.00 Zjazd uchwała napisaną przez Lenina odezwę, która m. in. głosi: „Opierając się na odległość ogromnej większości robotników, żołnierzy i chłopów... Zjazd bierze władzę w swoje ręce... Zjazd postanawia: cała władza w kraju przechodzi w ręce Rad...”

POWSTANIE W PIOTROGRODZIE I ZDOBYCIE PAŁACU ZIMOWEGO

(zręcznie orientacyjny)

Objaśnienie znaków:

akcja oddziałów rewolucyjnych w Piotrogradzie

otoczenie dzielnicy Pałacu Zimowego według planu Lenina

szturm i zdobycie Pałacu Zimowego

1. Pałac Zimowy — siedziba Rządu Tymczasowego

2. Sztab okręgu

3. Admiralicja

4. Ermitaż

5. Twierdza Pietropawłowska

6. Kwatera „Aurora”

7. Pałac Maryjski — siedziba Przedparlamentu

8. Bank Państwa

9. Giełda

10. Korpus kadetów



DZIEWCZĘTA Z PŁOCIENNEJ WIOSKI

Napisała ZOFIA BYSTRZYCKA

Ilustrował SZYMON KOBYLŃSKI (7)

MYŚLI Joanny zatoczyły wielkie koło i ostatnia wróciła we wspomnieniu dalekiego kraju, który płacił wysoką cenę za tamtą samowolę na kresowych ziemiach:

— Polski las... jak teraz wyglądają nasze lasy? Nie rozumiałam piękna naszej ziemi, póki go nie utraciłam. Byłam zamknięta w małym światku spraw rodzinnych i ambicji szkolnych — wyznała bardziej sobie, niż Zbyszkowi.

Ale jego rola była ważna w tym wszystkim. Był jak katalizator, który pomaga w zmianach, sam nie biorąc w nich udziału. Jego obecność nadawała ostrości przeżyciu, słowa wypowiedane były bardziej jednoznacznie niż myśli, które ją nachodziły w czarne wieczory. Działo się tak, że słowa nadawały myślom ostateczny kształt. Joanna mogła patrzeć na tę twarz, idąc trochę z tyłu, aby nie dojrzał jej oczu. Szedł pochylony i jasne, wijące się włosy wychodziły mu jak szczoteczka z boku, pod rogatywką. Policzki i kark miał opalone złotawą opalenizną blondynów, podobną w kolorze do skórki chlebowej.

Przeszli przez małą odkrytą łączkę, wysoka trawa ocierała się im o buty. Znow zamknął się nad nimi las, bardziej mroczny po tamtej słonecznej plachcie. Zbyszek szedł blisko, dotykał Joannę ramieniem, kiedy grunt był nierówny. Rzucił luźne zdania, na które kiwała głową, nie rozumiejąc, co mówi. Czuła gorąco w policzkach i zimno w dłoniach. Słyszała własną, nierówną pracę płuc. Oparła się o sosnę. Zbyszek stał przed nią tak blisko, że mogła dostrzec każdą nitkę w jego mundurze. Zawrót głowy wznosił się i wznosił, jak opar z wina. Przymknęła oczy i zaczęła cicho:

Lubię w niedzielę, gdy leżę na trawie,

Patrzeć się w niebo w sosnowej oprawie.

Lubię w półmroku zabłąkane słońce

I ciepły błękit w zielonej koronce...

I zaraz potem, nie otwierając oczu, jednym tchem, jakby kończyła wiersz:

— Zbyszkule, pocałuj mnie.

Poczuła ciepło, które zbliżało się po-

woli i miękkie usta oparły się o jej za-

ciśnięte zęby. Usta trwały nieruchomo, tylko zwolna traciły swoją miękkość i bezwolność. Ale zaraz odsunęły się i usłyszała:

— To twoje?

— Co? — zapytała, jeszcze nie kontrolując myśli.

— Ten wiersz.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Ze ściągniętymi brwiami patrzył jej nie w twarz, tylko na jej ręce, które spłótła na piersi jak do modlitwy. Kierowana tamtym wzrokiem ujrzała swoje dłonie, zaciśnięte szczerze jak w wielkim wysiłku, aż pobladła w stawach. Oczy patrzące na te ręce zmąciło zdumienie i lek. Rzekł, a w głosie jego był żal po ich przyjaźni, która nie była przyjaźnią:

— I po co ci to potrzebne?

Więc milczała chwilę, z uczuciem strasznej klęski, a potem powiedziała, jakby tamto było w tej chwili najważniejsze:

— To początek wiersza Krystyny z mego namiotu. Ona pisze wiersze. — I po policzkach zupełnie niespodziewanie popłynęły Joannie łzy.

Wtedy uciekła. Biegła między drzewami, przez pasy światła i cienia i świat cały wyglądał jak za moką od deszczu szybą. Biegła pędzona przez wiatr woliący w gałęziach. Ale głos sosen nie był tak donośny, żeby zagłuszyć słowa, które mogłyby ją zatrzymać, których nie usłyszała, bo pozwolił jej odejść.

Obok uliczki szerszej od innych, na której odbywały się zbiórki i apele, rozciągał się trawnik, podobny do wełnianego, gęstego chodnika. Na nim ponad wysokość trawy wychodziło płaskie wzniesienie, a na wzniesieniu widniał piastowski orzeł.

Zamiatano dzisiaj wszystkie ścieżki, woda z kociołków chlapała na kurz. Poprawiono ornamenty przy wejściach do namiotu i oglądano ukradkiem wyniki sąsiadek. Kiedy tamte okazywały się bardziej pomysłowe, przystrajały zagoniki koło płótna pięknie — zaszczerpiał tym w innych dziewczętach czarną noc zazdrości.

W przerwie obiadowej Joanna została wezwana do Michaliny. Powietrze o tej porze było pomarańczowe od wysokiego słońca, gorące i duszne. Dziewczyna zatrzymała się w progu, meldując swoje wejście. Michalina była sama. Pisała coś przy stole z desek, którego nogi wbite były w ziemię. Podniosła się, podeszła do Joanny.

— Wejdz, chciałam ci zaproponować jedną rzecz.

Joanna patrzyła na twarz Michaliny różową od płóciennych refleksów i pomyślała znów o tamtej rozmowie, kiedy w namiocie było szaro i padał deszcz. Oświatowała jak wówczas siadła obok niej i zapaliła papierosa. Z ust uniosła się jej chmurka dymu. Zaczęła mówić wolno, jakby jeszcze rozważając:

— Po jutrzejszym dniu nastąpią pewne przesunięcia personalne w Batalionie. W kancelarii robota szła dotąd rozmaicie, przeważnie nie bardzo. Dlatego pomyślałam o tobie, jako o głównym pisarzu. Trzeba kogoś nowego, co się jeszcze nie zasiadziało w papierkach. Podałam dowództwu twoją kandydaturę, ale nim zapadnie decyzja, chciałam z tobą pomówić.

Joanna popatrzyła na beret, który trzymała w ręku. Ten beret nosiła w dniu pierwszej pogadanki na polanie, kiedy nie śmiała zapytać o pracę w kancelarii. O pracę, która wydawała się jej cichą zatoką, odległą od burzliwych prądów wojskowego życia.

Michalina jakby odgadując jej myśli, mówiła dalej:

— Jest to praca odpowiedzialna, ale spokojna i dyscyplina wojskowa nie jest w niej taka obowiązująca. Poza tym kancelaria zostaje tutaj po wyjeździe Batalionu, jako załączek Drugiej Dywizji. Więc pomyślałam sobie, że tobie to może odpowiadać.

Joanna spojrzała na nią, ale nie dostrzegła w tamtej twarzy ironii. Oświa-



„Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu....”

towa patrzyła przed siebie spokojnie, podnosząc wolno do ust papierosa.

„Czy chce zostać pisarzem? Batalion pójdzie na zachód — myślała Joanna — każdy dzień będzie go zbliżał do utraczonej ziemi, na której rosną lasy podobne do tutejszych, a ona zostanie w tyle, nad papierkami, i kłócić się będzie o kociołki i bawełniane pończochy z innym pisarzem, może nie perkatym jak tamta, ale pewnie równie krzykliwym i w niedopiętym mundurze...”

Poczuła złość do Michaliny nie tylko za jej propozycję, ale i za to, że tamta uważała jej zgodę za zupełnie naturalną, za rzecz właściwie z góry przesądzoną. Ze z żołnierza, który strzelał na „bardzo dobrze” i nauczył się myśleć — chce zrobić mola od wykazów. Popatrzyła na oświatową:

— Dziękuję wam za pamięć. Może to miejsce jest wygodne i zadekować się na nim można, kiedy inne pójdą na front, ale mimo to, a może właśnie dlatego pisarzem nie zostanę. Szkoda, że będziecie mieli przeze mnie kłopoty, ale ja do kancelarii nie pójdę. Nie namawiajcie mnie, bo mówię do was trochę nie po żołniersku, ale taka jest moja prośba. Do kancelarii nie pójdę, bo wobec siebie byłoby mi przykro.

Powiedziała to szybko, oddychając głęboko z przejęcia. Teraz dopiero Michalina zwróciła do niej twarz. W tej twarzy nie było wyrzutu, były niebieskie płomyczki w oczach i uśmiech na zmęczonych, starszych od reszty twarzy ustach. Odparła, nie odwracając wzroku od Joanny:

— Dobrze, porozmawiam z dowództwem. Nie pójdziecie do kancelarii.

A Joanna, kiedy wracała do dziewcząt, do niedokończonych przygotowań na jutrzejszy dzień, to miała świadomość, że ta decyzja była ostatnim kilometrem jej drogi przed wymarszem.

Agata zawołała do niej z daleka:

— Janka, ostatnie dzisiaj zadanie bojowe! Zmieniamy pościel i słomę w siennikach, żeby wszystko było czyste i świeże. „Śpię, więc jestem”, jak powiedział pewien nieznaną grecki filozof, tylko jego słowa zmienili później różni francuscy myśliciele — gadała po swojemu. Śmiał się cały namiot. Śmiała się i Joanna.

Maszerowały czwórkami przez las, drogą dobrze znaną, wśród znajomych drzew.

Joanna szła w swojej czwórce, na zwykłym miejscu. Widziała Agatę szepczącą ukradkiem do sąsiadki. Wiknę z czarną grzywką, która wzdychała znacząco, aby dać znać, że ona właśnie jest najbardziej wzruszona. Szła Barbara zacięta i milcząca, żując swoje nieznanie nikomu myśli. Obok niej Celinka uśmiechała się pogodnie, patrząc na drzewa, pełne życia i świergotu. Krystyna maszerowała poważna i skupiona, zapewne układając już sobie nowe zwrotki z okazji dzisiejszej przysięgi. Przysięgi w grunwaldzką rocznicę, kiedy to butny Teuton...

Na przodzie szła porucznik Bondarowa, błyskająca rzemieniami i butami.

Przeszli przez małą, odkrytą łączkę



WODA na MŁYŃ

LUCJAN WOLANOWSKI

Zdjęcia: Z. MAŁEK

LUDZIE, którzy pomagali przy montażu, zapamiętali się na to bardzo nieufnie: „Eh, co to tam za młyn — kawał żelaza i tyle! Może lepiej już pójdziemy do domu”. Ostatecznie jednak założono pasy napędowe i aparat zaczął pracować z szumem, przechodzącym w wycie rozpedzonych z szybkością 2.100 obrotów na minutę kół. Kiedy później zatrzymano i oglądano rezultaty przemiału — cisnęli się wszyscy. To, co ujrzeli — było zadziwiające: groch został zmielony na niewiarygodnie drobną mączkę, z której grochówka gotuje się zaledwie pół godziny. Przyszli kronikarze tego wynalazku zapytali gospodyń domowych, a dowiedzą się, jaka to jest oszczędność czasu i opału, zanotują też, że próba ta była tylko jedną z kolejnych, prowadzonych w Zakładzie Naukowo-Badawczym Centralnego Instytutu Rolnictwa w Starym Polu koło Malborka. Tam to próbuje się wynalazek Konstantego Hana. Jakie rezultaty prób? Ostrożny w sądach kierownik Zakładu, inż. Jerzy Górny, powiedział mi: „W zasadzie wynik pomysłowy...”

„Aha — powie Czytelnik — to będzie więc o wynalazku: przed wojną zapoznany pomysł, teraz wynalazca znalazł zrozumienie, a jego wynalazek — pełne zastosowanie”.

Nie — tu niestety sprawa wygląda inaczej...

CZY SYCI SĄ GŁODNI?

Sprawa ta powinna zainteresować każdego, gdyż być może, że dziś nie pójdziecie do kina, czy nie będziecie słuchać radia, może urządzenie sobie dzień bezmięsny lub nie będziecie jeść ryby — ale z całą pewnością zjecie dziś kawałek chleba czy innego produktu z mąki. Każdy wie, że obecny system przemiału ziarna pozbawia mąkę — a więc i pieczywo — wielu witamin. 42 lata przeminięły od odkrycia Polaka — Kazimierza Funka, który wyizolował związek, zwany witaminą B, i wskazał na jego znaczenie, ale młynarstwo światowe nadal dąży do bieli mąki, powodowane handlowym stwierdzeniem, że „klient kupuje oczyma”. Najdroższe gatunki pieczywa są więc właściwie odżywczo najuboższe i bez przesady można rzec, że tam, gdzie technika młynarska stoi na najwyższym poziomie — ludzie dostają do spożycia pieczywo o najmniejszej wartości.

Wynalazca polski, Konstanty Han, pracuje ponad 30 lat nad wynalazkiem, który stanowi pełną rewolucję w młynarstwie: zarówno kamienie młyńskie, jak i walce młynarskie, idą do lamusa. Jego przyrządy przemiałowe pracują — w największym skrócie — w ten sposób, że w zupełnej ciemności, stworzonej w szczelnym aparacie, ziarno zostaje porwane szybko wirującymi łapkami i rzucone siłą odśrodkową do komór o specjalnych kształtach, gdzie ulega starciu na skutek działania wirów powietrznych. Efekt takiego rozbicia ziarna zbożowego jest bardzo znamienity; można go porównać z uderzeniem o bruk worka papierowego, naładowanego naczyniami glinianymi: naczynia kruszą się na drobne skorupki, a i sam worek przy dostatecznej sile uderzenia pęka na spore strzępy. Miełenie po ciemku, przy dużym dostępie powietrza, nie niszczy witamin, powoduje zatrzymanie w mące najbardziej cennych składników ziarna i umożliwia jej przechowywanie bez zepsucia przez z górą dwa lata. Przy zwykłym przemiale razowym należy usuwać kielek i wierzchołek ze zbóż, gdyż zawarty w nich tłuszcz

szybko jęlczeje i psuje wartość mąki już po 6 tygodniach. Przy przemiale na „Vitahanie” można wykorzystać zawarte w kielku i wierzchołku cenne składniki. Nadto oddzielanie otrąb od mąki odbywa się w ten sposób, że do mąki przechodzi o wiele więcej tak zwanych warstw aleuronowych, znajdujących się pod skórka ziarna, które są trzecim ważnym zbiornikiem witamin w ziarnie. Chleb z tej mąki jest pulchny, soczysty, łatwo strawny i zawiera wiele witamin. Sama mąka, obok tego, że jest wolna od cząsteczek kamienia młyńskiego czy pyłu ze ścieranych walców metalowych — odznacza się przypiekiem wyższym o 7 do 14% od normalnego. Można sobie wyobrazić, jakie znaczenie ma już chociażby ten ostatni fakt w skali państwowej, kiedy chodzi o wypiek milionów bochenków!

TO NIE WSZYSTKO!

Każdego, kto widzi w mrocznej szopie w Starym Polu aparat (nazwany przez wynalazcę „Vitahanem”) przy pracy — zastanowi długi rękaw z tkaniny, przymocowany do urządzenia przemiałowego. Tam gromadzi się pył mączny (do 2% w stosunku do mąki), który grupuje w znacznej ilości witaminy, łatwo strawne tłuszcze i białka roślinne. Chleb z tej mączki (Konstanty Han zwie ją „Exvitritem”) pobudza działalność niektórych gruczołów i ułatwia przemianę materii. Jego właściwości zostały zbadane już przed wojną. „Exvitrit” znalazł się nawet w oficjalnym spisie leków ówczesnej Ubezpieczalni Społecznej, a także był stosowany z powodzeniem do produkcji kosmetycznych preparatów witaminowych.

Wynalazca powiedział mi, że przewiduje trzy typy swej maszyny — oczywiście oparte na tym samym założeniu, ale nieco odmiennych w budowie z uwagi na różne zastosowania. A więc można na „Vitahanie” mleć groch i fasolę na zupełnie drobną mączkę, bardzo łatwo przyswajalną przez organizm. Czynione są próby przemiału głogu, leśnicy, lucerny, pokrzywy i innych roślin zasobnych w witaminy — dla uzyskania preparatów leczniczych. Wielkie możliwości otwierają się przed przemysłem chemicznym i górniczym, który zyskuje zupełnie nowe metody przemiału korka, gumy, szkła, cementu, węgla czy ebonitu — na zupełnie drobną pył.

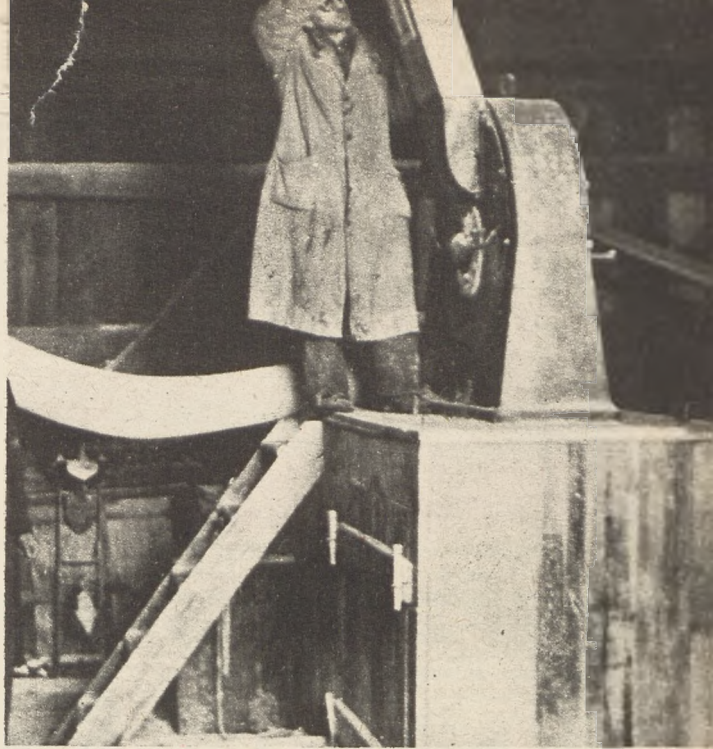
CZY PRZEWROT W ROLNICTWIE?

W jeszcze innym kierunku idą próby, których powodzenie oznaczać będzie zupełny przewrót w rolnictwie światowym. Wydaje się bowiem, że na „Vitahanie” będzie można rozdzielić kępkę buraka cukrowego, co stworzy zupełnie nowe perspektywy w tej dotąd tak pracochłonnej czynności, jak przerywanie rosnących kępkami buraków.

Niezwykle też ważne będzie zastosowanie „Vitahanu” do wyrobu pełnowartościowej paszy, otrzymywanej przez przemiał lucerny, koniczyny, siana, słomy, zołędzi, kasztanów, łubinu czy liści ziemniaków, marchwi lub buraków. Ciekawe, że konie jedzą chętnie łubin po zmieleniu na „Vitahanie”, kiedy wcale nie smakuje im to ziarno w naturalnej postaci. Pełnowartościowa, bogata w witaminy mączka sienna (z przemiału siana) zwiększy odporność bydła na gruźlicę.

Uczeni, z którymi rozmawiałem w Starym Polu, przywiązują wielką wagę do takiej produkcji pełnowartościowych pasz jeszcze z innych względów. Mówią oni: „Po co dawać cielakom mleko — lepiej dajmy je dzieciom!” Uważają oni, że młodym czworonogom wystarczą produkty z przemiału na „Vitahanie”.

Aparat ten jest łatwy w obsłudze i stosunkowo nieduży, tak że nie tylko można go zmontować w każdym PGR czy spółdzielni produkcyjnej, ale nawet na cież-



Czy wynalazek Konstantego Hana wyjdzie z tej mrocznej szopy w Starym Polu do hal nowoczesnych młynów?

zarówce, której silnik mógłby zarazem dostarczać mocy dla „Vitahanu”. Trwałość pieczywa i mąki, produkowanej tym systemem, umożliwi nam eksport mąki, a jest bardzo prawdopodobne zainteresowanie zagranicą tym aparatem — można by wywozić gotowe maszyny.

DLACZEGO TRYB WARUNKOWY?

Czytelnicy zauważyli niezawodnie, że te rozważania prowadzone są w trybie warunkowym. Aby zrozumieć przyczyny — posłuchajcie dziejów pomysłu i jego twórcy.

Konstanty Han ma obecnie 70 lat; od wczesnej młodości miał do czynienia z młynarstwem. Przed wojną rozpoczął eksploatację swego pomysłu na małą skalę młyna „Huragan”, który był starszym bratem „Vitahana”. Szybko rozeszła się wieść o właściwościach mąki i tego systemu. Zainteresowanie wynalazkiem przejawiali... Hitlerowcy.

Wojna zniszczyła prototyp maszyn Konstantego Hana. Jego samego odszukali Hitlerowcy w okupowanej Warszawie. Wezwany do urzędu, ujrzał pod znakiem orla ze swastyką przymilającego się „fachowca”, przed którym na biurku stały próbki produktów Hana i cała literatura o tym wynalazku, jaka ukazała się w Polsce w ostatnich miesiącach przedwojennych. Hitlerowcy szybko zorientowali się w korzyściach tego pomysłu i postanowili realizować go z całym rozmachem. Zaproponowali Hanowi wszelką pomoc i oddali mu do dyspozycji młyn w Poznaniu, gdzie miały stanąć urządzenia jego pomysłu.

Polski wynalazca wykręcał się, że jakoby cała dokumentacja techniczna wynalazku spaliła się we wrześniu 1939; wreszcie, kiedy „zaproszenia” do współpracy stawały się coraz bardziej natarczywe — uciekł, kryjąc się w Zegiestowie.

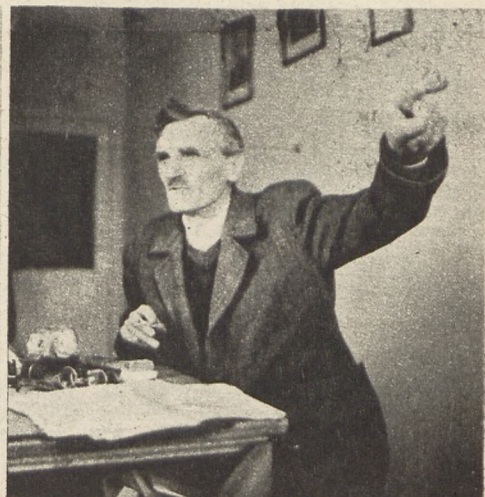
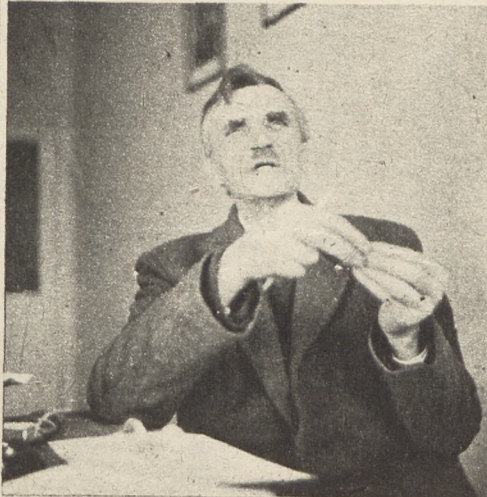
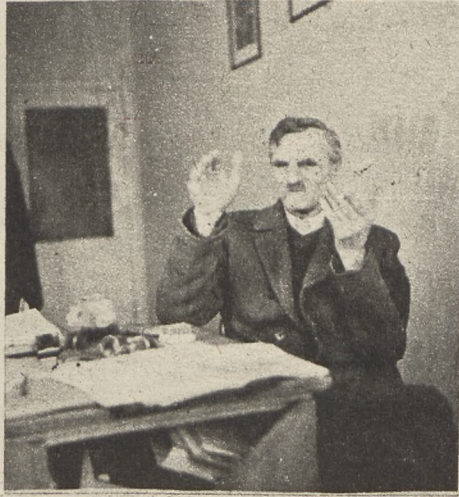
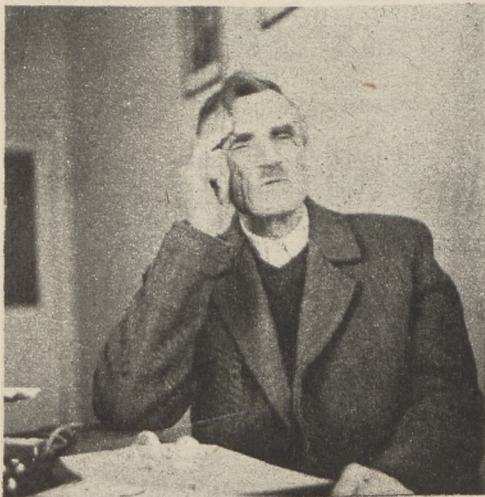
WYNALAZEK DLA POLSKI

Gestapo postanowiło za wszelką cenę zdobyć plany wynalazku. Powoli wytropiono Hana. Na przełomie marca i kwietnia 1942 roku — Hitlerowcy o godzinie 23 pewnej nocy wdarli się do obojętnego domu, gdzie zastali żonę wynalazcy, pochyloną nad rozpalonym piecem, do którego wrzucała właśnie... plany „Vitahanu” i zapiski z doświadczeń nad jego eksploatacją. Dziewięć Polka została za to zamordowana na miejscu — jej mąż został skatowany i długo więziony, ale wynalazek nie służył hitlerowskiej gospodarce wojennej.

Zaraz po wyzwoleniu Konstanty Han zabrał się do rekonstrukcji i ulepszania swego pomysłu — aby służyć on polskiej gospodarce pokojowej, zabrał się do realizacji ostatecznej dzieła swego całego życia.

Widziałem pozytywne opinie uczonych, widziałem pomysły i wyniki próbnych wypieków chleba z mąki zmielonej „Vitahanem”, widziałem patent z 17 lipca

Dokończenie na str. 22



Wynalazca Konstanty Han powiedział nam: „Wiem, że maszyna moja nie jest jeszcze doskonała i że muszę usunąć jej drobne usterki. Potrzebna mi jest pomoc inżynierów konstruktorów i doświadczonych mechaników, potrzebne mi są materiały kwasoodporne do budowy ulepszonego prototypu maszyny, gdyż ten — to improwizacja”.

„ZAGŁADA ESKADRY“

PO STALINOGRODZIE W WARSZAWIE

WIELE już dzieł z teatralnej klasyki radzieckiej, tematycznie związanej z wielkimi dniami Rewolucji Październikowej, ukazało się na scenach polskich. Wymieńmy najważniejsze pozycje: „Lubow Jarowaja“ Treniewa (Kraków, Poznań i — podobno — niebawem Warszawa), „Człowiek z karabinem“ Pogodina (Wrocław), „Pociąg pancerny“ Iwanowa (Warszawa), „Szturm“ Bill-Bielocerkowskiego (Opole), „Przełom“ Ławreniewa (Łódź), „Niezapomniany rok 1919“ Wiszniewskiego (Łódź), „Op-tymistyczna tragedia“ (Teatr Żydowski). Do tej kategorii można zaliczyć też „Młodość ojców“ Gorbatawa (Warszawa). A więc wybór bardzo duży, obejmujący prawie wszystkie najwybitniejsze dzieła z tej dziedziny. Nie znaczy to jednak, by repertuar ten miało się uznać w teatrze polskim już za załatwiony. Po pierwsze — w prawie każdym z wymienionych miast wystawiono tylko jedną z tych sztuk, pozostaje więc jeszcze sporo innych do grania. Po drugie — tylko bardzo nieliczne z tych przedstawień można było uznać za udane — bodaj w części. Tak więc teatr polski ma w tym zakresie jeszcze odpowiedzialne zadania do spełnienia.

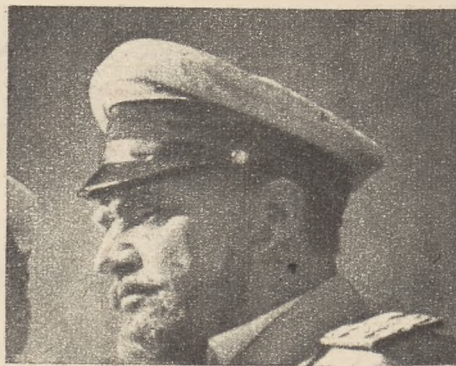
Nie są zaś to zadania łatwe. Sztuki rewolucyjnej klasyki radzieckiej mają charakter widowisk o dużym rozmachu. Potrzeba tu znacznych środków personalnych i technicznych, reżysera umiejącego sobie radzić z operowaniem dużym zespołem i gry aktorów wymagającej szczególnej szczerości i żarliwości — inaczej przedstawienie zabrzmi od razu sztucznie i fałszywie. Najważniejsze jest tu właśnie wydobycie gorącej atmosfery uczuciowej, a także ostrości konfliktów i głębokości charakterów. Wtedy spośród natłoku wydarzeń i czynów małych i wielkich, nędznych i szlachetnych, okrutnych i wzniosłych — ukaże się wielkość i potęga Rewolucji. Ukaże się wielkość zaciętej walki z wrogami młodej Republiki Radzieckiej — tyfusem, zimnem, głodem, bandytyzmem, białogwardyjską kontrrewolucją, organizowaną, podtrzymywaną i podsycaną przez obcych interwentów.

Do serii tych przedstawień teatru polskie dołączyły sztukę dobrze znanego w Polsce ukraińskiego pisarza Aleksandra Korniejczuka „Zagłada eskadry“. Wystawił ją w roku ubiegłym teatr w Stalinogrodzie. Przedstawienie to zostało wyróżnione tegoroczną nagrodą państwową trzeciego stopnia, którą otrzymał jego reżyser Roman Zawistowski wraz z trzema aktorami: Gustawem Holoubkiem, Józefem Parą i Bolesławem Smelą. Spotkało się ono również z bardzo pochlebną oceną dyrektora i reżysera moskiewskiego Teatru im. Mossowietu, J. Zawadzkiego, który bawił wraz ze swym zespołem w Polsce i który potem spisał swe wrażenia w radzieckim miesięczniku „Teatr“. „Widziałem w Stalinogrodzie — czytamy tam m. in. — „Zagładę eskadry“ A. Korniejczuka, sztukę niezwykle sceniczną, napisaną z talentem, ciekawą, ale bardzo trudną dla realizatora i artystów tego małego i skromnego w swych możliwościach technicznych teatru... Spektakl bezwarunkowo udał się zespołowi i reżyserowi teatru stalinogrodzkiego jeśli idzie o rzecz najważniejszą — wydobywa zasadniczy temat sztuki, sugeruje widzom patriotyczne wzruszenie, porywa swym patosem rewolucyjnym. Obudziła we mnie zastrzeżenia tylko jedna okoliczność: w przedstawieniu daje się bardzo silnie wyczuć rękę reżysera, która nie pozwala odczuć indywidualności aktorów. Na scenie niemal nie było tych indywidualności...“

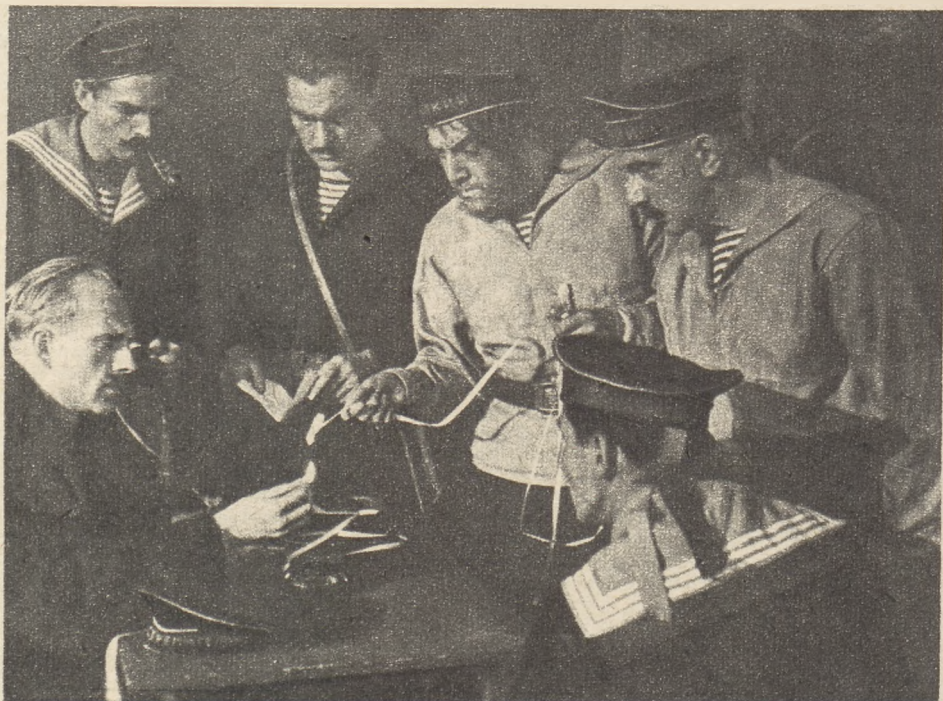
Obecnie „Zagładę eskadry“ wystawia Teatr Domu Wojska Polskiego w Warszawie w reżyserii Ludwika Ręce. I tu można było odcisnąć podobne wrażenie: „na scenie niemal nie było indywidualności“. Wydaje się jednak, że nie z powodu „zbyt silnej ręki reżysera“, który zresztą nie dawał sobie rady z trudnościami technicznymi aktorów, ale z powodu niedostatków widokowych. Zwłaszcza postacie rewolucjonistów z nie-licznymi wyjątkami wypadły blado. Nie tylko nie przeważały, ale nawet nie równoważyły siły wrogów rewolucji.

Co prawda bohaterów „Zagłady eskadry“ autor zaledwie naskikował. Można powiedzieć, że nie mają oni własnej swej biografii, znamy tylko ich teraźniejszość i przyszłość, a nie przeszłość. Jednakże mają oni mimo to wyraziste cechy indywidualne. Aby cechy te na scenie uwydatnić, aktorzy muszą dorobić biografię tym postaciom i zgodzić się z nią je ująć. Inaczej będą to jakieś typy „w ogóle“, a nie żywi ludzie. W przedstawieniu warszawskim zdołali to zrobić tylko niektórzy aktorzy: Saturnin Butkiewicz jako admirał Granatow, Józef Konrad jako książę Knoris, Eugeniusz Dziekoński jako prowokator Kobza, Wiktor Nanowski — jako przejściowo opierający się decyzji partii, ale żarliwy rewolucjonista Hajdaj.

Trzeba jednak podkreślić duży wysiłek teatru, włożony w to przedstawienie. Kilka



Saturnin Butkiewicz jako admirał Granatow w sztuce „Zagłada eskadry“.



W pełnej napięcia scenie zbiorowej „Zagłady eskadry“ (od lewej): Jan Galecki, Miłosz Maszyński, Zbigniew Przeradzki, Józef Niewęglowski i Konrad Ciborski.



Rolę Hajdaja w granej obecnie w Teatrze Domu Wojska Polskiego „Zagładzie eskadry“ gra Wiktor Nanowski (z prawej). W roli Kobzy występuje Eugeniusz Dziekoński.

rol obsadzono podwójnie, a nawet potrójnie. Prawie cały zespół męski (bo jest tu jedna tylko rola kobieca) wziął w nim udział i z pewnością został pociągnięty walorami ideowymi sztuki. Walory te — mimo wszystkich braków spektaklu — działają również na widza, tym bardziej, że sztuka jest żywa, ciekawa, przykuwa uwagę. Pod tym względem więc wybór jej należy uznać za trafny dla tego właśnie teatru, który spełnia tak ważną rolę kulturalną przede wszystkim — choć nie tylko — wśród naszego wojska. Przypomnijmy przy okazji, że teatr Domu Wojska Polskiego jest teatrem obywatelskim, że jego przedstawienia oglądają tysiące naszych żołnierzy w odległych nieraz ośrodkach i obozach. Sztuka Korniejczuka niewątpliwie będzie dla nich głębokim przeżyciem, dostarczy im wielu cennych wartości, a także — poprzez obraz artystyczny — sporo wiedzy z dziejów Rewolucji.

Akcja „Zagłady eskadry“ toczy się w pierwszych miesiącach 1918 roku. Korniejczuk zajął się ukraińskim odcinkiem Rewolucji. Powstała wtedy „niepodległa“ Ukraina — z łaski i pod okupacją Niemiec wilhelmowskich — z nacjonalistyczną i reakcyjną Radą Centralną w Kijowie. Załoga eskadry czarnomorskiej, która z polecenia Partii ma zatopić swe okręty, aby nie

wpadły w ręce wroga, składa się z najróżniejszych elementów. Wśród marynarzy przeważają Ukraińcy. Są wśród nich świadomi i zdecydowani działacze partyjni, są i załamujący się psychicznie rewolucjonisci, są obojętni i są prowokatorzy, są synowie kuliaków i są nacjonalisci pozostający w łączności z Radą Centralną. Oficerowie — to przeważnie Rosjanie, którzy w pogardzie mają i rewolucjonistów i nacjonalistów ukraińskich, ale i jednych i drugich się boją, a gotowi są sprzymierzyć się z tymi ostatnimi, bo rozumieją wspólność swych interesów z ich interesami. Oficerów, jako morskich fachowców, potrzebują na razie i jedni i drudzy, rewolucjoniści i nacjonalisci, i muszą się z nimi do pewnego stopnia i do pewnego czasu liczyć. Wszystko to kotłuje się na okręcie, ściera się z sobą, walczy, atakuje i broni.

Ale w końcu rozkaz partii zostaje spełniony: eskadra okrętów ulega zagładzie. Ludzie jednak oddani rewolucji idą dalej walczyć aż do zwycięstwa. I wizja tego zwycięstwa kończy się ta „optymistyczna tragedia“, pełna tragicznych konfliktów i rozwiązań, ale przepojona optymizmem, wynikającym z niezłomnej słuszności sprawy niezwyciężonej.

AUGUST GRODZICKI

„ŚWIAT“ przypomina

ROSJA REWOLUCYJNA I POLSKA

Ścisły związek między Rewolucją Październikową i odzyskaniem przez Polskę niepodległości był świadomym i systematycznie zacieranym przez uczonych burżuazyjnych w międzywojennym dwudziestolecu. W okresie jednak, gdy na oczach świata dokonywała się rewolucja w Rosji, nikt tego ścisłego związku nie mógł przekreślić. Ciekawym dokumentem owej epoki, pochodzącym z okresu między rewolucją Lutowską i Październikową, jest artykuł burżuazyjnego historyka polskiego, Szymona Askenazego, ogłoszony w Szwajcarii 15 maja 1917 roku. W artykule tym Askenazy pisał m. in.:

„Każda wielka rewolucja jest w zaczątku zagadką dla świata i samej siebie. Rosyjska jest na pozór rewolucją dumską. W rzeczywistości jest wojskową, robotniczą, jutro może wiościąską bardziej niż parlamentarną...“

„...Przeobrażenie Rosji autokratycznej, paktującej podstępnie z wrogiem, na parlamentarną, opanowaną ślepym zapalem wojennym, to byłby cel fikcyjny, niewykonalny. Środkiem do takiego celu mogłoby być zamach pałacowy, nie powstanie ludowe. Śiega ono nieskończenie głębiej. Podnosi najgłębsze zagadnienia polityczne i społeczne likwidacji całokształtu starej Rosji.“

„...Rewolucja rosyjska potężną falą wolnościową na Europę, a przede wszystkim na sąsiednich promieniującą spółośrobieców, tym samym przyspieszy wyzwolenie Polski.“

„...Nadeszła z Piotrogradu wiadomość, że rewolucyjne władze rosyjskie uroczysto oświadczyły się za niepodległością Polski. Jest to wielki gest dziejowy...“

„...Rozważyć należy, kto właściwie i z jakiego tytułu imieniem wyzwolonej Rosji przemówił głosem wyzwoleniczym do Polski. Przemówili dwa zgola odrębne kierownice ciała rewolucyjne. Naprzód, 27 marca 1917 roku z odezwą do „Narodu Polskiego“ wystąpiła Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Następnie, 29 marca z odezwą „Do Polaków“ wystąpił piotrogradzki Rząd Tymczasowy. Która z obu tych władz istotnie wyobraża dziś i wyobrażać będzie jutro Rosję rewolucyjną? Chronologicznie najpierwszą, prawdziwą władzą rewolucyjną była niewątpliwie Rada Robotniczo-Żołnierska...“

„...Istotna siła zdaje się niekoniecznie być przy tym wtórnym, zapożyczającym sobie autorytet z zewnątrz od konającej Dumy i ginącego cara pochodnym, chwiejnym tworem, jakim jest Rząd Tymczasowy. Siła żywiołowa zdaje się być raczej przy owym pierwotnym, samorodnym, gwałtownym tworze, jakim jest Rada robotniczo-żołnierska. Od niej też, ile śród nieprzebitej pomroki, otaczającej zawrotne wypadki piotrogradzkie, z daleka wyniosłować można, wyszła pono inicjatywa niniejszego przełomowego w rzeczach polskich wystąpienia, zaczęciem dopiero w dni parę, chcąc nie chcąc, pójść musiał również i Rząd Tymczasowy.“

„...Obiedwie odeszły, Rady i Rządu, wykazują znamienne różnice w formie i treści. Pierwsza, bardzo zwięzła i po ludowskiu dobitna, „oświadcza, że Rosja demokratyczna stoi na gruncie uznania narodowo-politycznego samookreślenia narodów i proklamuje, że Polska ma prawo być zupełnie niepodległą pod względem państwowym i międzynarodowym“. Zarazem „życzy (narodowi polskiemu) powodzenia w nadchodzącej walce o ustanowienie w niepodległej Polsce demokratycznego i republikańskiego ustroju“.

W istocie, siła robotniczo-chołpska, siła partii bolszewickiej, siła kierująca Rewolucją, miała w październiku dokonać dzieła ostatecznego, kładąc jednocześnie fundament pod wyzwolenie Polski.

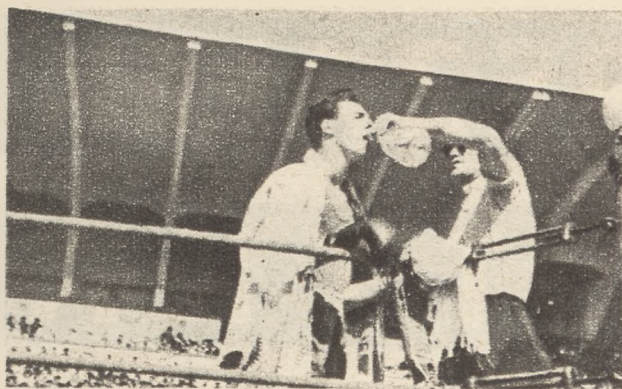
SIŁA BOLSZEWICKICH HASEŁ

ILUSTROWANY
KURIER CODZIENNY
Rok VII. Kraków, sobota 18 listopada 1917. Nr. 211.
Rewolucja bolszewicka w Petersburgu!
Maksymowa ewangelia. — Kierunki polityczne. — Lada od widoków.
Nowy rząd domaga się natychmiastowego pokoju!

Rewolucja Październikowa zwyciężyła w czasie, gdy narodził się czwarty rok krwawości na frontach pierwszej wojny imperialistycznej. Jaką siłę musiały już w tym czasie posiadać leninowskie hasła, skoro reakcyjny „Ikar“, jedno z polskich pism, które pierwsze doniosło o zwycięstwie Października — nie tylko umieściło wiadomość na całej szerokości pierwszej kolumny, ale pod tytułem głównym umieściło drugi: „Nowy rząd domaga się natychmiastowego pokoju!“

SIEDMIOMILOWE BUTY BOKSERÓW BULGARSKICH

FELIKS SZTAM



Po krótkiej przerwie znów do ataku... Bułgarzy wykazali dalsze postępy na meczu Warszawa — Sofia.

PRZED wojną nie istniał w Bułgarii sport bokserki, zawodnicy tego kraju nie byli notowani na międzynarodowej „gieldzie” pięściarskiej. Teraz, w wolnym kraju, sport bułgarski nabiera zdumiewającego rozmachu, bokserzy bułgarscy włożyli siedmiomilowe buty i starają się dogonić kolegów z innych krajów Europy.

W wyzwolonej Bułgarii naukę boks rozpoczęto od pierwszych kroków. Zaangażowano trenera, którym był Austriak — ex-mistrz Europy w kategorii muszej — Weiss. Zakasano rękawy, przystąpiono do roboty.

Systematyczna praca zaczęła wydawać plony, pięściarze bułgarscy po raz pierwszy zwrócili na siebie uwagę w czasie wielkiego turnieju, który w marcu roku 1952 odbył się w Moskwie. Wprawdzie wykazywali jeszcze duże braki techniczne, lecz wyróżniali się bojowością, a przede wszystkim ambicją. Na olimpiadzie w Helsinkach Gleorgiew doszedł do półfinału, co było niewątpliwym sukcesem młodego boks bułgarskiego.

Już 4 lata temu, kiedy w Warszawie po raz pierwszy po wojnie grała reprezentacja piłkarska Bułgarii, toczyły się rozmowy z przedstawicielami sportu bułgarskiego, dotyczące ewentualnej wizyty pięściarzy polskich w Sofii. Do spotkania jeszcze wtedy nie doszło, gdyż Bułgarzy nie czuli się na siłach, uważali, iż są zbyt słabi.

Aż wreszcie w tym roku, w połowie października, nastąpiło pierwsze spotkanie polsko-bułgarskie: mecz Warszawa-Sofia. Mecz ten po ciężkiej walce wygraliśmy 12:8. Jakkolwiek gospodarze zostali pokonani; to jednak ta honorowa porażka jest bezspornie dla nich sukcesem. Nasi przyjaciele dowiedli, że pracują i czynią postępy.

Dla nas mecz w Sofii był szczególnie trudny ze względu na specyficzne warunki. Nie przypuszczaliśmy, że w drugiej połowie października zawody organizowane będą na otwartym powietrzu. Niestety Sofia nie posiada hali, która by mogła pomieścić wszystkich entuzjastów boks.

Mecz rozegraliśmy pod gołym niebem i trzeba pecha, że akurat dzień był wyjątkowo chłodny i wietrzny: termometr wskazywał zaledwie siedem stopni powyżej zera.

Nasi bokserzy, nie przyzwyczajeni do ostrego, górskiego

powietrza, na ogół walczyli poniżej swych możliwości, źle wytrzymując końcowe rundy.

W Sofii odbyły się właściwie dwa spotkania polsko-bułgarskie. Pierwsze z nich, to mecz, o którym wspominałem, a drugie nastąpiło nazajutrz.

Zebrałiśmy się w dużej sali gimnastycznej. Ring otoczyli wszyscy trenerzy, którzy zjechali z całego kraju, i bokserzy kadry narodowej.

Zostałem zaproszony do zainicjowania wykładu o pięściarstwie. Zgodziłem się bardzo chętnie. Mówiłem o moich obserwacjach poczynionych w czasie meczu. Staralem się zwrócić uwagę na największe błędy popełnione przez naszych oraz bułgarskich zawodników. A dotyczyły one przede wszystkim obrony, jako że często bokserzy w gorące walki zapominają, iż pięściarstwo jest nade wszystko sztuką samobrony. Zapalczywa młodzież nierzadko „pali się” do natarcia, a gubi się w defensywie.

Aby jeszcze bardziej uwidocznili wszystkie błędy, poprosiłem na ring zawodników Grzelaka i Biela — chłopców bardzo postawnych, i oni, jak na ekranie filmowym, demonstrowali, w myśl moich wskazówek, wszelkie niedociągnięcia. Jednocześnie pokazywali, jak powinny wyglądać prawidłowe akcje.

Następnie poproszono mnie, abym pokazał, jak się prowadzi szkolenie dla początkujących, później zaś demonstrowałem trening dla zaawansowanych oraz dla extra-klasy bokserkiej.

Posypały się pytania na temat techniki i taktyki pięściarskiej. Staralem się odpowiadać według mych możliwości, a Grzelak i Biel dzielnie mi pomagali.

Czas szybko zleciał, konferencja trwała przeszło trzy godziny. Widziałem zaniepokojenie w oczach trenerów bułgarskich i ich wychowanków. Wydaje mi się, że niejeden z nich wiele skorzystał i byłem szczęśliwy, że choć w tak skromny sposób mogłem pomóc naszym przyjaciołom.

Jestem głęboko przekonany, że bokserzy bułgarscy dzięki wielkiemu zapałowi do pracy już w najbliższych latach poczynią duże postępy. Podobne postępy, jak uczynili ich ko-szykarze, lekkoatleci czy też piłkarze.

JÓZEF HEN

Notatnik zapalenia

MŁODZI IDA

ROZWÓJ sportu radzieckiego zdumiewa świat. Budzi podziw, zachwyt, a czasem, jak się okazuje, i zawiść. Wyniki radzieckich gimnastyków, zapaśników, ciężarowców i lekkoatletów niepokoją p. Brundage, Amerykanina, przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. P. Brundage wolałby, żeby Olimpiada w Melbourne odbyła się bez sportowców radzieckich, a może i bez Zatopka, Sidty, węgierskich pływaków i szablistów. Wysuwając oskarżenia, które budzą oburzenie nawet wśród dziennikarzy sportowych świata zachodniego. Myślę, że p. Brundage nie jest taki naiwny, za jakiego się podaje, i wie, że Zatopek jest wzorem sportowca, a utrzymuje się z tego, że jest zawodowym oficerem. Wie, że Sidło jest studentem AWF, Ignatiew zwykłym nauczycielem wiejskim, Zybina studentką optyki, a Dumbadze inżynierem budowy mostów. P. Brundage wie, że to u nas walczy się bezkompromisowo o czystość sportu, że to u nas nie udadzą się „gwiazdom” żadne kawały, że to u nas dyskutuje się na łamach prasy zagadnienia wychowania i moralności sportowej. Wie, że Sidło nie podpisuje kontraktu na „występy”, że kiedy Chromik atakuje czas na dystansach od 1500 m do 10 km, kieruje nim li tylko sportowa ambicja.

Tajemnica sukcesów radzieckiego sportu polega przede wszystkim na jego powszechności. Kilkuletni napór młodzieży zmienił tablicę rekordów ZSRR w lekkoatletyce i wysunął radziecką lekkoatletykę na pierwsze miejsce w Europie. Trenerzy, lekarze, sprzęt, stadiony — to tylko składniki ogólnej opieki państwa nad młodzieżą. Powszechność i poprawa wyników łączy się ze wzrostem dobrobytu. Poprawił się materiał ludzki.

Przeprowadzane na przestrzeni 24 lat badania zawodników, uczestniczących w wyścigach kolarskich na trasie Moskwa — Charków — Moskwa, wykazują stałe podnoszenie się ich wartości fizycznej. Oto, dla porównania, przeciętne dane kolarzy z r. 1927 i 1951. Wzrost: 169,8 — 171,5; waga: 65 kg — 72 kg; objętość klatki piersiowej: 88,6 cm — 93,5; pojemność płuc: 4660 ccm — 5000 ccm.

Wielkie natarcie młodzieży trwa — i już nie ustanie. Nasz obecny gość, drużyna piłkarska „Spartak” — chętnie się poddała tej ofensywie i dobrze na tym wyszła: już drugi rok z kolei zdobywa mistrzostwo ZSRR. Jeszcze w roku 1949 przeciętny wiek piłkarzy „Spartaka” wynosił 27,4 lat. W rok później — 26,5. Połowiec wprowadzenie młodych sił spowodowało początkowo spadek drużyny z trzeciej pozycji na piątą. Wówczas kierownictwo zdecydowało się na jeszcze bardziej energiczne odnowienie. W drużynie znaleźli się niedawni juniorzy: Iljin, Jemyszew, Tatuszyn, Parszyn — wszyscy należą dziś do najlepszych piłkarzy ZSRR. „Spartak” jest dziś drużyną, na której można polegać. Potwierdziła swoją wielką klasę, wygrywając z taką znakomitością europejską, jak wiedeński „Rapid” — 4:0. W ogóle kontakty piłkarzy radzieckich rozszerzyły się: w Związku Radzieckim gościli ostatnio Albańczycy, Hindusi, Finowie, Węgrzy, „Spartak” wyjechał do Polski, „Torpedo” do NRD, a ostatnio prasa donosi o zaproszeniu do ZSRR londyńskiego „Arsenal”.

Problem młodzieży piłkarskiej jest tam ciągle przedmiotem dyskusji. Zabrał w tej sprawie głos pisarz Eugeniusz Worobiow. „Za mało jest placików do gry!” — stwierdza Worobiow, i my, warszawiacy, rozumiemy go bardzo dobrze. Oczywiście — pisze Worobiow — potrzebne nam są stadiony-giganty i wspaniałe trawniki z napisami „deptać nie wolno”. Ale chłopcom, którzy chcą sobie pograć w piłkę, przydatyby się także i skromne placiki, bez wspaniałych urządzeń, ale za to z trawnikami, które można deptać. Jako jedyna inwestycja wystarczyłby tu natrysk. Artykuł Worobiowa ukazał się... w „Literaturnej Gazecie”. Nie jest to wy-padek odo-sobniony. O sporcie pisza w ZSRR tacy pi-sarze, jak Gorbатов i Sofronow. Stąd ich bliskość do młodzieży. Jeszcze jeden przykład godny naśladowania...

Artykuł Worobiowa przypomina nam nasze własne bolączki. Wiadomo, że pierwsze kroki piłkarze warszawscy stawiali dawniej na tak zwanym „Placu Bro-ni”. Wiadomo też, że przed wojną Warszawa latami nie wydawała piłkarzy (Szczepaniak, Świczarz należą tu do wyjątków), karmiąc się jedynie przybyszami z Krawowa i Śląska. Te dwa ośrodki — dzięki niezliczonym placikom — były i są wylegarnią piłkarstwa polskiego. W piłkę nożną trzeba bowiem grać od dzieciństwa. Siedemnastoletni wirtuoz piłki nożnej nie należy do rzadkości. Kiedy się przychodzi po raz pierwszy na prawdziwe boisko — trzeba już piłkę „czuć”. Kto wie, czy artykuł Worobiowa nie dotknął pośrednio najczulszego miejsca naszego piłkarstwa.

Nie ma wątpliwości, że w Związku Radzieckim, skoro raz sprawa została poruszona — zostanie rozwiązana. Skorzystajmy — raz jeszcze — z doświadczeń naszych przyjaciół.

Pierwszy od lewej — autor artykułu, Feliks Szta. Za zasługi położone dla rozwoju naszego pięściarstwa przewodniczący GKKF, W. Reczek, udekorował go w maju b. r. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.



FELDMARSHAŁEK i SWASTYKA

MARIAN PODKOWIŃSKI

(5)

PODZAS jednej z takich biesiad nadeszła wieść o klęsce pod Moskwą. Bohaterska armia radziecka zadała jeden z decydujących ciosów Wehrmachtowi i jego chełpliwym generałom, fetującym Hitlera jako „największego wodza naszych czasów”. Operacja „Tajfun” rozbiła się o stłowy pierścień Moskwy. Zbliżała się napoleońska katastrofa — notuje w swoim pamiętniku Jodl. Zima przyniosła dalsze ciosy Hitlerowi i jego wojskom. A przecież była to dopiero pierwsza zima wojenna...

Niepowodzenia na froncie wschodnim doprowadzają Hitlera do hysterii. Całą winę zrzuca oczywiście na swoich doradców wojskowych. Odechodzą więc po kolei Brauchitsch (Hitler sam obejmuje dowództwo wojsk lądowych), Guderian (który do łask „wodza” powróci dopiero po puczu 20 lipca 1944 — jako nowy szef sztabu generalnego), generał wojsk pancernych Hoepfner, feldmarszałek von Bock i plejada innych ekspertów „wschodnich”. Ci, którzy pozostali na wschodzie, po nocach czytają pamiętniki Caulaincourta, wielkiego koniuszego Napoleona, o cierpieniach, topniejącej na rosyjskich polach sławnej „Grande Armee”.

Kiedy ofensywa na Moskwę zakończyła się sromotną porażką i cały świat dowiedział się o tym, że można zwyciężyć hitlerowskich feldmarszałków, których Petain i Gamelin uznali za „niezwycięzonych”, Hitler rzuca swoje wojska na południowy front, gdzie dotąd między Chersoniem a Melitopolem walczyły dywizje generała von Schoberta.

Spśród wszystkich generałów, których mu przedstawia Jodl, Hitler wybiera na dowódcę walczącej na południu 11 armii swego ulubieńca Mansteina, do którego ma całkowite zaufanie. Jemu zamierza powierzyć — jeśli zda pierwszy egzamin: zdobycie Krymu — wykonanie „Operation Blau”: uderzenie na Kubań i Kaukaz.

Gdy Manstein przybywa do „Wolfsschanze”, Hitler powiada:

— Zadaniem dowódcy armii jest prowadzenie wojny w duchu narodowo - socjalistycznym i w takim duchu muszą być wychowani moi żołnierze... Panu powierzam dzisiaj to zadanie...

VIII.

Manstein nie przyjeżdża sam do Nikołajewa (na północno-wschód od Odessy, którą plądrują rumuńskie wojska zbira Antonescu). Dla wykonania powierzonych mu zadań „w duchu narodowo-socjalistycznym” zjeżdża do kwatery 11 armii ze swoim sztabem i odpowiednimi rozkazami.

Kim są jego pomocnicy i jakie otrzymał rozkazy?

Jego szefem sztabu jest generał Woehler (późniejszy dowódca grupy „Sued”, o którym Hitler powie w ro-

ku 1944: „Woehler nie jest wprawdzie członkiem partii, ale zachowuje się jak prawdziwy narodowy socjalista”), szefem zaś wydziału operacyjnego — generał Busse (28 marca 1945 był tym generałem, któremu Hitler powierzył „obronę” Berlina). Oprócz obu generałów Manstein przywozi ze sobą jeszcze jednego człowieka. Jest nim generał SS (Oberführer) i SD Ohlendorf. Będzie on przy sztabie Mansteina pełnił funkcję dowódcy „Grupy likwidacyjnej D”, która ma ułatwić 11 armii „prowadzenie wojny w duchu narodowo-socjalistycznym”, jak tego pragnął Hitler.

Na front krymski Manstein przywozi dwa specjalne rozkazy Hitlera i Keitla, które mają mu ułatwić masowe zabijanie ludności cywilnej, mordowanie partyzantów i rozstrzeliwanie jeńców wojennych. W pierwszym rozkazie Hitler poleca, aby za każdego zabitego żołnierza stracić co najmniej 100 komunistów lub partyzantów. „Egzekucja musi być przeprowadzona w sposób odstraszający”. Drugim rozkazem — był tzw. „Kommissarbefehl”, czyli mordowanie komisarzy przy radzieckich jednostkach wojskowych. Prawo egzekucji bez sądu posiadał każdy oficer niemiecki od majora poczynając. Trzecim rozkazem, w jaki zaopatrzone Mansteina, był rozkaz Keitla o mordowaniu cywilnej ludności pod pretekstem „zagrożenia bezpieczeństwa żołnierzy niemieckich”. Rozkaz ten zawiera m. in. takie zdanie (cyt. ze stenogramu przesłuchania Keitla przez radzieckiego prokuratora Rudenka w Norymberdze): „Wojsko jest uprawnione i obowiązane zastosować w walce wszystkie środki, nie oszczędzając kobiet i dzieci”.

Mając do dyspozycji trzech katów-generałów i wyposażony w trzy katowskie rozkazy Hitlera, Manstein przystąpił do ofensywy na Perekop i Krym.

IX

Wojnę w ZSRR prowadzili hitlerowcy najbardziej okrutnymi metodami, jakie wymyślić był w stanie psychopata z „Wolfsschanze” i jego poplecznicy. Olbrzymie straty w ludziach i materiałach, jakie poniósł Związek Radziecki w ostatniej wojnie, o których mówił prokurator Rudenko na procesie norymberskim, obrazują ogromnisze, poniesionych przez Kraj Rad w wojnie narodowej, w walce z hitlerowskim imperializmem i pruskimi junkrami. Rudenko powiedział wtedy w Norymberdze: „Hitlerowscy najeźdźcy zburzyli 31 tysięcy zakładów przemysłowych, 65 tysięcy km szyn kolejowych, 36 tysięcy stacji pocztowych, 40 tysięcy szpitali, 84 tysiące szkół, 43 tysiące bibliotek publicznych, 98 tysięcy kolchozów, zrabowali 7 milionów kont, 17 milionów sztuk bydła, 20 milionów trzody chlewnej, 27 milionów owiec i kóz, 110 milionów

sztuk drobiu; zbezczeszcili 1670 cerkwi, 237 kościołów, 532 synagogi i 259 świątyń innych wyznań oraz spalili historyczne muzea i pomniki kultury rosyjskiej, jak np. Muzeum Wojny 1812 roku i pałac w Peterhoffie”. Miliony zabitych, rozstrzelanych, zakatowanych i wywiezionych w głąb Rzeszy obywateli radzieckich, setki tysięcy powieszonych partyzantów i wymordowanych bestialsko jeńców wojennych miały być początkiem himmlerowskiego programu zgładzenia 30 milionów Słowian — dla przygotowania odpowiedniego Lebensraumu dla hitlerowskich kolonizatorów aż po Ural.

To, co na swoim krymsko-ukraińskim odcinku, w ciągu jednego roku, dokonał Manstein i jego wojska, trudno nazwać inaczej, jak totalnym ludobójstwem. Na procesie w Hamburgu zarzucono Mansteinowi 17 rodzajów zbrodni, dokonanych na terenach Związku Radzieckiego; w akcie oskarżenia zostały one uszeregowane w cztery grupy wojennych przestępstw: mordowanie jeńców wojennych, rozstrzeliwanie zakładników, likwidacja Żydów i Cyganów (przez mordowanie w komorach gazowych, duszenie w specjalnych autach ciężarowych, tzw. duszogubkach, oraz topienie) i totalne niszczenie kraju (metoda „spalonej ziemi”).

Walka o Krym trwała od początków października 1941 do pierwszych dni lipca 1942. W trójkącie — Eupatoria-Sewastopol-Teodozja — trwały ze zmiennym szczyściem zaciekle walki z hitlerowskim najeźdźcą. Kiedy wojska radzieckie przerwały front między XXX korpusem feldmarszałka von Kleista a armią rumuńską nad Morzem Azowskim, Manstein sam objął dowództwo nad LIV korpusem pancernym. Przede wszystkim wyciął w pień 40 tysięcy jeńców radzieckich, którzy znaleźli się na tyłach 11 armii. Następnie rozpoczęło się masowe mordowanie schwytanych partyzantów i masakra cywilnej ludności. Kiedy 15 listopada wojska hitlerowskie zajęły po ciężkich walkach Eupatorię, Symferopol i Teodozję, idąc na zdobycie twierdzy Sewastopol, Manstein wprowadził w czyn rozkazy Hitlera. Z dokumentów, jakie dochowały się do naszych dni, i zeznań naocznych świadków, można dopiero uzmysłowić sobie ogrom tej zbrodni.

Po zajęciu Symferopola dywizja pancerna SS-Totenkopf rozstrzelała 2.600 komisarzy i funkcjonariuszy partyjnych, w tym bohaterskiego dyrektora miejscowej gazowni, który stał na czele walki partyzanckiej. Wojskowy komendant Symferopola wydał rozkaz, że jeśli gdziekolwiek wybuchnie mina lub bomba, w odwet zostanie rozstrzelanych 100 cywilów. Niemcy zmuszali ludność do rozminowania dróg, pól i lasów, narażając setki osób na pewną śmierć. Gdy więc przypadkowo jedna z min wybuchła w mieście i kilku Niemców odniosło rany — rozstrzelano natychmiast stu mieszkańców Symferopola. W kilka dni później zabito jeszcze kilkaset osób. W Eupatorii rozstrzelano 1.200 komisarzy i funkcjonariuszy partyjnych, nie licząc setek powieszonych na przydrożnych słupach patriotów radzieckich, którzy nie chcieli poddać się hitlerowcom. Rozstrzeliwano za najmniejsze przewinienie. Na przewodzie sądu hamburskiego stwierdzono, że Manstein wydawał wyroki śmierci za sfałszowanie karty żywnościowej, za późne przebywanie na ulicy, za przechowywanie młodych ludzi, nawet jeśli nie byli partyzantami, za opóźnianie się do pracy przymusowej, za ucieczkę przed ewakuacją, za bojkotowanie zdrajców. Zimą 1941 roku dziesiątki tysięcy obywateli radzieckich straciły życie tylko dlatego, aby ludobójczym planom Himmlera i Rosenberga stało się zadość.

Po ciężkich walkach 1 lipca 1942 roku padła twierdza Sewastopol. Krym był całkowicie opanowany przez Mansteina. Teraz dopiero rozpoczęła się stopniowa likwidacja ludności cywilnej. Manstein został nagrodzony przez Hitlera buławą feldmarszałka i „liściami dębowymi” do krzyża „rycerskiego”. Pierwszym wyczynem Mansteina było wysadzenie dynamitem w górach Inkermanu wielkich pieczar, w których wojska radzieckie urządziły szpital polowy. Tysiące rannych żołnierzy i spędzonych tam jeńców radzieckich poniosły okrutną śmierć wśród gór. Następnie Ohlendorf otrzymał od Mansteina rozkaz zlikwidowania Żydów i Cyganów. Wedle danych Ohlendorfa, w samym Symferopolu wymordowano w ciągu paru tygodni 90 tysięcy Żydów. Zeznając przed trybunałem norymberskim w charakterze świadka, Ohlendorf (powieszony później w Landsbergu za swoje niesamowite zbrodnie na Krymie) oświadczył spokojnym głosem:

„Były grupy likwidacyjne, które mogły zameldować Himmlerowi jeszcze większe cyfry, niż moja... Sam uczestniczyłem w dwóch egzekucjach masowych. Ubrania i rzeczy wartościowe pomordowanych przekazywałem do Berlina. Zegarki otrzymywali oficerowie Wehrmachtu...”

Manstein na procesie twierdził, że nic nie wiedział o masakrze Żydów na Krymie. Zwał winę na SS i na Himmlera. Jak wiadomo, umarli milczą. Ale — pozostały dowody zbrodni. Wprawdzie Ohlendorf był już powieszony, ale do Hamburga sprowadzono oficerów jego „Einsatzkommando”, którzy odsiadywali swoje wyroki w Landsbergu. SS-manni stwierdzili jednomyślnie, że Manstein, jako dowódca Krymu, był doskonale poinformowany o działalności grupy Ohlendorfa i że oficerowie Wehrmachtu brali czynny udział w przygotowaniach do masowych mordów na Żydach i innych obywatelach radzieckich.

Na procesie pokazano oskarżonemu pewien, parafowany przez niego, dokument, który najlepiej przegwoździł kłamstwa Mansteina. Dotyczył on właśnie sprawy zegarków, o których wspominał Ohlendorf.

Balszy ciąg nastąpi



Manstein w okopach Symferopola (na Krymie). Obok niego generał Woehler, szef sztabu 11 armii.

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

PRZYEJEDZAJĄ CHORE — ODJEŻDZAJĄ ZDROWE

Od małych chat wiejskich, od wąskich uliczek, wyraźnie odcina się szeroka, prosta aleja, wysadzona drzewami i zamknięta u wylotu bryłą dużego białego dworu.

Były lata, gdy przez jarzące się światłem okna dworu w Wolicy widzieć można było tylko strojne damy i wylegantowanych panów — gości pani dziedziczki, zjeżdżających tu na zabawy i hulanki.

Dziś, gdy spojrzysz wzdłuż alei, ujrzyś dzieci: to w jakiejś grze zespołowej, to idą-

dze, nabierają rumieńców, powracają do zdrowia.

Szybko zżywają się z otoczeniem i z nowymi warunkami i zupełnie nie odczuwają atmosfery choroby. Bo, poza pewnymi zabiegami i częstymi oględzinami lekarskimi, prowadzą podobny tryb życia jak dzieci zdrowe. Nie przezywają zajęć szkolnych, bo w prewenterium jest szkoła. Śpiewają w chórze, biorą udział w amatorskich przedstawieniach i redagują gazetkę ścienną.



Skrzydło dawnego dworu w Wolicy, w którym obecnie mieści się prewenterium

ce parami pod kierownictwem wychowawczyń w głąb parku lub bawiące się w „klasy“

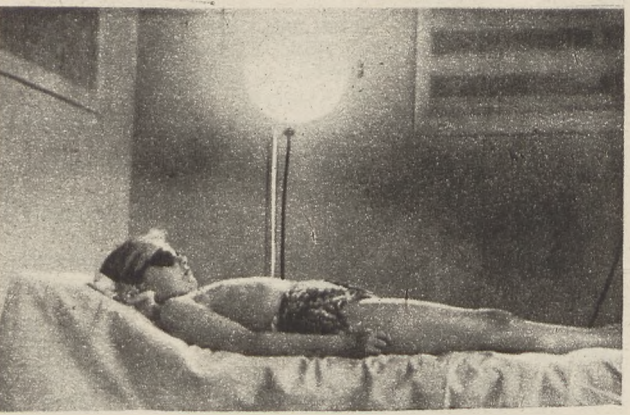
W pewnych godzinach dom zalega cisza. Wszystkie dzieci układają się wtedy w wygodnych łózekach lub leżakach i wypoczywają.

W prewenterium w Wolicy, w dobrych warunkach klimatycznych i życiowych, pod troskliwą opieką lekarza i wykwalifikowanych wychowawczyń dzieci zagrożone gruźlicą przybierają na wa-

Raz w miesiącu, w wyznaczoną na odwiedziny niedzielę, rodzice nie mogą się nacieszyć widokiem swych pociech szybko powracających do zdrowia.

Prewenterium w Wolicy w woj. krakowskim dla dzieci zagrożonych gruźlicą, w wieku od lat 7 do 10, zostało założone w roku 1947. W ciągu roku leczy się tu prawie tysiąc dzieci, przyjeżdżają chore — a do domu powracają zdrowe.

Z. Lewandowski, Kraków



Basia Białek bierze naświetlania lampą kwarcową. Pobyt w prewenterium służy jej: przybrała na wadze, ustał kaszel, a i humor się poprawił

„MURY GROZĄ ZAWALENIEM“

W czasie ostatniego pobytu w Oleśnicy (województwo wrocławskie) przekonałem się, iż zacięci ojcowie tegoż grodu wykazują niewiele troski o zdrowie i życie swoich współobywateli.

Do wniosku tego doszedłem, kiedy przechodząc „reprezentacyjną“ ulicą 1 Maja ujrzałem na kilkupiętrowym, doszczętnie wypalonym budynku niewielki biały arkusz brystolu z napisem tej treści: „Nie przechodzić blisko murów. Mury grozą zawaleniem. MRN“.

Czyż nikt z członków Miejskiej Rady Narodowej w Oleśnicy nie zastanowił się nad faktem, że napis umieszczony jest tylko z jednej strony budynku, że w dzień jest mało widoczny, a w nocy w ogóle go nie widać, że treści jego nie mogą przeczytać dzieci?

Czyż naprawdę nikt nie mógł do tej pory pomyśleć o zabezpieczeniu budynku tak, by uniemożliwić przejście obok niego, lub — co byłoby najwłaściwsze — o rozebraniu wypalonego domu?

Historyczne to miasteczko, ładnie położone i zazielenione, jest zaniedbane, zaśmiecone i brudne. Mury niemal wszystkich budynków pokryte są napisami niemieckimi i oklejone starymi, zniszczonymi plakaciami i afiszami. O stanie, w jakim znajduje się „ustronne miejsce“ na oleśnickim dworcu kolejowym — wolę nie pisać. Aż się pioró wzdręga!

Może te gorzkie, acz prawdziwe słowa będą dla ojców miasta Oleśnicy pobudką i wezwaniem do czynu.

Jan Tokurek, Koszulin
Zdjęcia: F. Tracz

Nie przechodzić blisko murów. Mury grozą zawaleniem!
M.R.N.

Tak wygląda kartka z napisem, który ma ostrzegać przechodniów przed zawaleniem budynku

KONIE I KONIKI

Wóz naładowany był „z czubem“, zmieścił coś około sześćdziesięciu koppek świeżego owsa. Napinając postronki, dwa wielkie koniska, wążące w sumie ponad półtorej tony, ciągnęły go z trudem.

— Te „szwedy“ idą jak woły! Zobaczylibyście moje koniki! — chwalił się Kowalewska, opiekunka koni biłgorajskich ze stadniny w Popielinie.

— Przy tym samym wozie? — spytałem niedowierzająco.
— Naturalnie — odparła. A

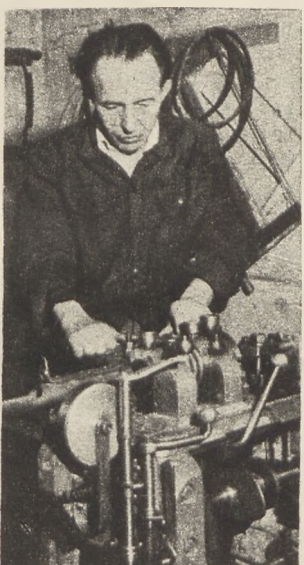
gdy nie dałem temu wiary, popędziła w stronę stajni. Zniknęła za budynkami i po chwili szła już z powrotem prowadząc parę koników.

„Misza“, płowy wałach, strzygł uszami i wdzięcznie przebiegał „ubranymi“ w przegowane pończoszki nogami. Jego towarzyszką „Chętna“, kłacz myszasta z ciemną, brązową, prawie czarną pręgą wzdłuż kregosłupa, szła poważnie, tak właśnie, jak na matkę liczego już pokolenia przystało.



Para koników biłgorajskich bez trudu zastąpiła parę „Szwedów“

WAŁBRZYSKI „LEONARDO DA VINCI“



Jakub Kasprówicz przy pracy nad własnym pomysłem automatem do drewnianych futerałów

Tak nazywają Jakuba Kasprówicza, samouka, członka inwalidzkiej spółdzielni „Zryw“ w Wałbrzychu, który — jak trzeba — potrafi uszyć ubranie, zrobić buty, zna się na stolarce i ślusarce, jest tapicerem, naprawia zegarki. Najchętniej jednak maluje obrazy i pracuje nad usprawnieniami technicznymi czy pomysłami nowych maszyn.

Gdy fabryka porcelany w Wałbrzychu — „Zofiówka“, miała kłopoty z drewnianymi

futerałami do porcelanowych odważników, z produkcją których nie nadążała — radę znalazł Jakub Kasprówicz. Pomyślał, pokręcił głową i — choć nigdy nie kończył żadnej uczelni — zrobił projekt automatu do wyrobu tych futerałów i sam wykonał rysunki techniczne. W miesiąc później automat produkował tak potrzebne fabryce futerały.

Kiedyś znów uwagę Kasprówicza zwróciła sterta drobnych odpadków skórzanych, którą spostrzegł w jednej ze spółdzielni.

— Tyle się tego marnuje — i myśli o zużytkowaniu ścinoków skóry nie przestawała go prześladować.

I znów chodził, oglądał, myślał. Aż wymyślił. Z drzewa skonstruował prototyp maszyny, która splatać będzie bezużyteczne skrawki skóry, jak z włókna tkaninę. Z tej skórzanej „tkaniny“ — nie słychać taniej — można będzie wyrobić walizy, teczki, obuwie, kurtki. A obsługa maszyny jest bardzo prosta. Zbudowana została z myślą o tym, by mógł nią kierować jeden człowiek, nawet inwalida, bez ręki lub nogi.

Warsztat spółdzielni „Zryw“ w Wałbrzychu zarzucony jest rysunkami najrozmaitszych projektów tego samouka, których nie powstydziliby się nie jeden inżynier. Jaka szkoda, że nikt dotychczas nie zainteresował się poważnie tymi pomysłami.

Z. Fin, Wałbrzych

Wóz z owsem zatrzymano. „Szwedy“ odeszły na bok, a ich miejsce zajęły koniki. Kowalewska wdrapała się na wóz, świsnęła przez zęby i zawiadadko strzeliła z bata. Koniki ruszyły z miejsca.

— Lećcie pod stodołę, zobaczcie — zachęcała mnie — jak pociągną pod górę.

Do stodoły prowadził nasyp. mający chyba ponad piętnaście stopni nachylenia. Koniki szły niezmordowanie, przyspieszając kroku. Stałem, przeczekałem oczy.

Konik, zwany inaczej „konikiem biłgorajskim“, jest potomkiem leśnych tarpanów i zachował wiele cech tych wytrzymałych i silnych zwierząt.

Jedzą one o połowę mniej paszy treściwej od koni zwykłych, a siano nawet z badyłami i kwaśnymi trawami smakuje im i służy na zdrowie. System nerwowy, system trawienny i zdolność przyswajania sobie pokarmów pozwalają konikom na bardziej wydajną pracę. Poza tym koniki są niewrażliwe na zmiany atmosferyczne i mogą obywać się bez stajni.

Tarpany zamieszkiwały niegdyś lasy i północne rejony stepowe wschodniej Europy. Wspominało o nich w statucie litewskim z XVI wieku. W sto lat potem pisał o tych koniach budowniczy twierdzy Baru i Kudaku, Le Vasseur de Beauplon. Pisał również o nich Niemcewicz w „Zbiorze pamiątek o dawnej Polsce“.

W roku 1880 padł w Zoo moskiewskim ostatni dziko

schwyty tarpan. Ale w Polsce, w okolicach Biłgoraja, obłaskawiony tarpan stał się koniem chlopskim.

Skąd tam przybył, dokładnie nie wiadomo. Jedni twierdzą, że jest obłaskawionym tubylcem. Inni przychylają się do podania, że tarpany z Puszczy Białowieskiej sprowadził w Biłgorajskie hrabia Zamoyski. Gdy zabrakło mu funduszy na utrzymanie ich w zwierzyńcu, oddał je chłopom.

Znany hipolog polski, profesor Vetulani, widząc, jak wielką wartość gospodarczą i jak wspaniały materiał do badań naukowych przedstawiają koniki, postawił się o to, aby w Puszczy Białowieskiej stworzyć dla nich rezerwat. Przetrawił on do chwili obecnej.

Planowa gospodarka rolna, gdzie większość zasadniczych prac wykonywać mają maszyny, nie rezygnuje bynajmniej z pomocy koni. Potrzebne one są do wszelkiego rodzaju prac pomocniczych, a w niektórych terenach i do uprawy roli. Konik biłgorajski może się przydać w niejednym gospodarstwie, otoczony jest więc specjalną opieką.

Koniki dostaną piękny rezerwat na półwyspie między jeziorem Śniardwy i Beldan, gdzie nasi hipolodzy będą mogli dalej badać życie tego zwierzęcia w warunkach, przypominających pierwotne środowisko tarpanów. Ale o tym będziemy mogli pisać dopiero w roku przyszłym.

Leonid Teliga, Warszawa



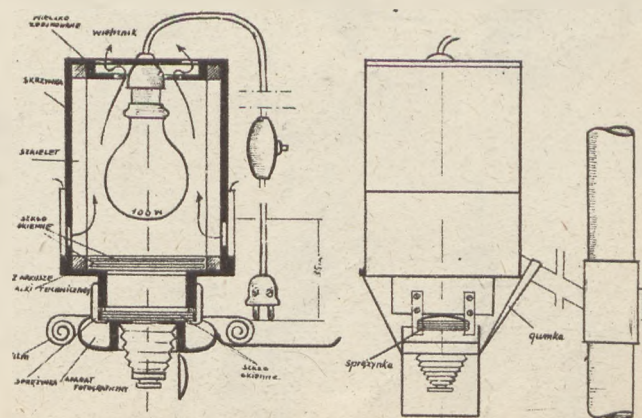
Gertruda Kowalewska, opiekunka koników

FOTOGRAFIA NA CODZIEN CZYTELNICY PISZA

„Z wielką uwagą i zainteresowaniem czytam Wasz kącik „Fotografia na codzień“ i przyznać muszę, że wiele zeń skorzystałem i nadal korzystam. A co ważniejsze, właśnie dzięki Waszemu kącikowi zdecydowałem się sam wywoływać filmy i robić powiększenia. Kącik ten zachęcił mnie również do zbudowania sobie własnego powiększalnika...“ Oto fragment listu Czytelnika K. H. z Pelcnicy, pow. Wałbrzych. Do listu dołączone jest powiększenie zdjęcia oraz opis i rysunek powiększalnika.

Czytelnik nasz zbudował skrzynkę z deseczek i sklejk. Umocował w niej żarówkę (100 watt), 2 arkusiki kalki technicznej zamiast matówki i dwie szybki, między którymi umieszcza się film. Pod skrzynką zawieszona jest aparat fotograficzny, jest to więc t.zw. przystawka. Największą trudność tej konstrukcji pionowej stanowi umocowanie zaciskowe na metalowej rurze, pozwalające przesuwac przystawkę na różne wysokości, w zależności od rozmiaru powiększeń.

Nadesłane do nas przez Czytelnika powiększenie wykonane jest zupełnie poprawnie.



Rysunek ten wykonał sam Czytelnik K. H. z Pelcnicy

GORĄCA WIEŚ

AMBINANITELO

NAGLE, ni stąd ni z owąd, podporucznik wybucha gniewem. Twarz wykrzywia mu się szkaradnie, oczy ciskają złe iskry.

— Kanalie!! — sapie głośno i przeciągle, wypuszczając powietrze z krtani.

Z jego wzroku, skierowanego w stronę dziedzica, odgaduje, że ma na myśli mieszkańców wsi. Porywa go spazm wściekłości. Przestaje jeść, talerz gwałtownie odsuwa od siebie.

— Kanalie! — syczy ponownie przez zaciśnięte zęby.

— Powiedźcie mi, poruczniku, dlaczego macie do nich taki uraz. Przecież to wyście im człowieka zabili, nie oni wam!

Mówię to spokojnym głosem, pragnąc wszcząć z nim rzeczową dyskusję. Lecz spokój mój, zamiast gościa przywieść do równowagi, jeszcze więcej go rozsierdza.

— Co z wami gadać? — prychna na mnie obraźliwie.

— Czy wy ich znacie, wy od pisania książek i od przyrody?... Jakie to zdradliwe bestie, jakie podstępne zmięje! Przebiegłe, złe, podłe, kłamliwe!

Zachłystuje się. Na twarzy jego obrzydzenie. Widzę, że w swej niegrzeczności przeciąga strunę. Muszę się pilnować, by nie stracić cierpliwości. Młody oficer kolonialny, w swym zarozumiałstwie uważający się za bożyszczę, jest zdolny do wszystkiego.

— Jedyna rzecz, to wytepić ich! — pieni się dalej rozwścieczony. — Zniszczyć cały ten pomiot!

— Czemu nam to mówicie? — wypala Bogdan.

Rzucam ku niemu ostrzegawcze spojrzenie, by nie wdawał się w rozmowę. Ale sam nie wytrzymuję i wtrącam z ironiczną powagą:

— Powiadacie, poruczniku, wytepić ich? Ale kto wtedy będzie pracował na waszych plantacjach?

— Sciągniemy ludzi z Indochin, nie bójcie się! — parska.

— To ludzie z Indochin są tacy skorzy? Tacy wam chętni?...

Nie słucha. Nic go to nie obchodzi. Nie panuje nad sobą. Nieugięty opór wsi doprowadził go do szału. Opełtała go ta jedna tylko myśl.

— Spalić gniazdo buntowników, obrócić w perzynę całą wieś! — tłamsi w sobie złość. — Powystrzelać wszystkich, do nogi, nikomu pardonu!...

— Poruczniku, proszę, jedzcie obiad! — odzywam się łagodnie.

Nie zważa na moje słowa.

— Nikczemne, skryte gady!... Nikomu z tubylców nie można ufać, każdy w sobie nosi zdradę!...

— Przesada — mruczy Bogdan.

— Czy myślicie — zjadliwie zwraca się oficer do mnie, wskazując palcem na Rajaonę i Ramaso siedzących pod ścianą — czy myślicie, że nawet im można ufać?

Jednak trzeba temu położyć kres.

— Panie poruczniku!! — przywołuję go podniesionym, ostrym głosem do porządku.

Demonstracyjnie odkładam nóż i widelec i wyprostowuję się. Bogdan czyni to samo. Nastaje drażliwa cisza. Patrzymy na niego twardym, pytającym wzrokiem.

Przytomnieje. Wzbudzony dotychczas wyraz jego twarzy uśmierza się. Oficer bąka pod nosem coś niby „przepraszam” i sięga po swój talerz. Wyciąga rękę również po butelkę z rumem, prosząc mnie jednocześnie wzrokiem o pozwolenie.

Potrząsam głową z uprzejmą odmową.

— Jeśli was prosić można, poruczniku — zdobywam się na uśmiech — to już nie pić. Każę szybciej podać kawę...

Gość słucha, cofa rękę. Uspokaja się. Jemy dalej obiad.

28. KAPRAŁ ALI WIJE SIĘ Z BÓLU

OBIAD upływa niby igranie z dynamitem. Każdej chwili grozi jakimś wybuchem. Siedzimy przy stole jak na rozżarzonych węglach, niecierpliwie wypatrując końca posiłku.

Lecz wszystko układa się dobrze. W ochoczym nastroju dochodzimy już do kawy.

W tym samym czasie żołnierze gotują sobie ryż przed chatą wójta. Jedynie mężczyźni wsi, trzymani wciąż na naszym podwórzu, nie nie dostają do jedzenia. Od nich sączy się do nas cichy gwar ludzki.

Wtem ostry, przeraźliwy okrzyk z dworu. Raczej z chaty wójta. Rozmowę naszą przecina w połowie zdania, a niektórych z nas podrywa z siedzenia. Wstrząśnięci, nadstawiamy ucha. Rozlegają się ponowne okrzyki, jakieś okropne i niehumanitarne. Patrzymy pytająco na siebie.

Okrzyki, z początku urywane, przechodzą w przeciągły skowyt i rżenie.

Nagle oficer zrywa się jak oparzony.

— Toż to Ali!!

— Ali, kaprał? — pytam przeczuwając najgorsze.

— On!

Goście moi są tak samo przerażeni jak ja. Z odgłosów wnosimy, że Malgaszę, w przystępie jakiejś rozpacz, rzucili się na kaprała i mordują go.

Wypadamy z chaty. Zdumienie. Ludzi na dziedzińcu zastajemy równie spokojnych jak poprzednio, tylko teraz wszyscy z napięciem zwracają twarze w stronę chaty wójta. Stamtąd wydiera się charchot Alego.

Pędzimy na miejsce wypadku. Na ziemi leży Ali i wije się z bólu. Oczy w ślup, cera nie czarna, lecz zielonkawa, koloru pleśni. Piana na ustach.

Jęczy i szarpie rękoma swój brzuch. Drgawki wstrząsają całym obryzkiem jego cielskiem.

— Ależ on dogorywa! — stwierdza ze zgrozą podporucznik.

— Dajcie mu wody! — rozkazuje stojącym dokoła żołnierzom.

— Ostrożnie z wodą — ostrzegam. — Może mu jeszcze bardziej zaszkodzić.

Ali jęczy, jak gdyby mu ciało rozrywali. Znikła jego zwykła buta i brutalność. Powalony nagłą chorobą, jest jak bezradne dziecko.

Malgaszę na dziedzińcu zaczynają nucić ponury, monotony śpiew. Brzdni niesamowicie, jak pomruk zwierza zamkniętego w podziemnej pieczarze. Kilka powtarzanych w kółko tonów łączy się ni to w skargę, ni w groźbę. Każdy nuci z cicha, ale wszyscy społem tworzą potężną falę, wywierającą nieopisaną wrażenie.

— Co to jest? — oburza się oficer.

— Śpiew żałobny dla Alego — wyjaśnia nauczyciel Ramaso.

— Czy nie można im tego zakazać?

— Można, poruczniku! Macie przecież władzę i wojsko.

Oficer tłamsi w ustach przekleństwo i zwraca się do obecnych żołnierzy:

— Co on jadł?

— Kaprał Ali jadł ryż, panie poruczniku!

— Jaki ryż?

— Ten sam, co i my. Sami sobie gotowaliśmy.

— Jedliście z tego samego garnka?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Czy macie boleści?

— Nie, panie poruczniku.

— A przedtem Ali jadł co?

Tego żołnierze nie wiedzą. Jeśli jadł, to przygodnie, gdy był na wsi. Nikt tego nie widział. Sam Ali, zapytany o to, nie daje odpowiedzi. Półprzytomny wciąż jęczy.

Oficer wywołuje na dwór wójta, nauczyciela i mnie. Ludzie nucą trochę ciszej, ale śpiew nie ustaje.

— Cicho!!! — wrzeszczy podporucznik.

Cisza zalega dziedzińca tylko na kilka chwil. Gdzieś w najdalszym kącie ktoś podejmuje nutę i już wzbięra uparty szum.

— Dla mnie — mówi oficer zwracając się do nas — nie ulega wątpliwości: kaprał Ali został otruty w tej wsi. Czy podzielacie panowie moje zdanie?

— Objawy choroby są wprawdzie zastanawiające — rozważam — ale nie można twierdzić tak stanowczo, że to otrucie. Zresztą nie mam w tym doświadczenia.

— W naszym kraju — powiada Ramaso — często zachodzą podobne napady choroby, na którą ludzie giną. Niekoniecznie musi to być otrucie.

— To otrucie, głowę daję! — upiera się oficer i niecierpliwie tupie nogą. — Czy jest tu doktor w pobliżu?

— Nie ma — odpowiada Rajaona.

Śpiew zebranych Malgaszów rzeczywiście działa na nerwy. To jakiś bierny, a przejmujący, protest ludzi przeciw krzywdzie, jaka ich spotyka. Stojąc z nauczycielem na uboczu, pytam się go:

— Czy oni śpiewają jakieś wyraźne słowa?

Ramaso potakuje głową.

— Śpiewają — tłumaczy mi — mniej więcej tak:

Do złego człowieka

zbliży się zła śmierć, eej.

Duchy są sprawiedliwe,

Duchy się mszczą, eej.

— Duchy — powiedziałam — to pewnie tanguin?

— To nie objawy zatrucia tanguinem.

— Więc czymś innym?

— Chyba tak — nauczyciel nieznacznie mruży oczy.

Spośród zamkniętych na podwórzu mieszkańców wsi występuje Dżinarivelo i powolnym krokiem zwraca się w moją stronę.

— Powiedźcie młodemu oficerowi — mówi, gdy staje obok mnie — że kaprał umrze, jeśli szybko nie doświedzi pomocy...

— Dlaczego — wrzeszczy podporucznik na starca — dlaczego nie zwracasz się do mnie wprost, skoro tu stoje? Dlaczego to pośrednictwo?

— To mój serdeczny przyjaciel! — biorę Dżinarivela w obronę.

— Czemu nie zwraca się do wójta albo do nauczyciela?!

— Ależ poruczniku! — powstrzymuję jego zapalczywość. — Irytują pana uchylenia protokołu dworskiego, a tymczasem na włosku wiszą życie pańskiego kaprała. Znam mego przyjaciela na tyle dobrze, że przypuszczam, iż chce nam coś ważnego powiedzieć. Prawda? — zwracam się do Dżinarivela.

— Tak, prawda — odpowiada starzec. — Kaprała trzeba ratować.

— Ratować, jak? — sierdzi się oficer.

— Znamy w lesie fanofody, które mogłyby mu pomóc.

— Co to są fanofody?

— Ziola leczące.

— Daj je!

Dżinarivelo spogląda wyczekująco na oficera i milczy.

— Idź do lasu i przynieś je! — rozkazuje podporucznik.

— To nie tak łatwo, panie poruczniku. Są to rzadkie ziola i nie wiadomo czy jeden człowiek je znajdzie. A jeśli znajdzie, czy nie będzie za późno. Szukać w lesie musi wielu, muszą iść wszyscy!

Ostatnie słowa Dżinarivela wypowiada ze szczególnym naciskiem i ręką zatacza koło, ażeby nie było wątpliwości: wskazuje na wszystkich Malgaszów zebranych na dziedzińcu.

— Aaach, o to ci chodzi? — wybucha z przekąsem oficer.

— Tak, o to mi chodzi! — z opanowaniem podkreśla starzec każde słowo, patrząc podporucznikowi prosto w oczy.

— Chciecie uciec do lasu i nie wrócić! — pieni się dowódca.

— Tu stoja nasze chaty! — odpowiada Dżinarivelo z godnością. — Dlaczego mielibyśmy uciekać? Żadnej nie dopuściliśmy się winy...

Oficer czuje się w potrzasku i nie wie jak postąpić. — Rzuca ku nam pytające spojrzenia.

— Wybac pan, poruczniku — przedkładam mu — że wtrącam się do nierozwojonych spraw. Czy przesłuchiwanie mieszkańców jest już ukończzone?

— Właściwie tak! Nic nowego nie dowiem się od tych zatwardziałych młotów.

— To czemu ich jeszcze pan trzyma?

— Muszą mieć nauczkę!

— Daje im pan nauczkę kosztem życia swego kaprała. Niech pan, poruczniku, spojrzysz na te dzisiejsze sprawy pod innym kątem widzenia: pod kątem swej odpowiedzialności.

— Obojętne mi, co pismaki w Tananarywie napiszą w głupich gazetach!...

Ale widocznie nie tak bardzo mu obojętne. Ponure jęki Alego, właśnie dlatego, że coraz słabsze, coraz silniej wstrząsają nerwy. Także i młodemu dowódcy. Wyraźnie zanosi się na śmierć kaprała, a tymczasem Dżinarivelo podał jedyny sposób ratowania go. Resztki zdrowego rozumu dochodzą w poruczniku do głosu. Zatrzymuje Dżinarivela jako zakładnika, a wszystkich innych rozpuszcza, polecając sołtysowi Bezazie dopilnowania porządku.



Vatikan und Oder-Neiße-Frage

München. Pressemeldungen der letzten Zeit erweckten im Zusammenhang mit dem polnischen Kirchenkampf den Eindruck, als habe der Vatikan für die Oder-Neiße-Gebiete eigene Bischöfe ernannt. Demgegenüber wird von kirchlicher Seite darauf hingewiesen, daß ein derartiger Schritt nicht erfolgt ist. Im Abkommen zwischen den polnischen Bischöfen und der Warschauer Regierung vom April 1950 verlangte diese, der polnische Episkopat solle sich für die Einsetzung eigener für die Oder-Neiße-Gebiete zuständiger Bischöfe in Rom verwenden. Die Kurie hat jedoch lediglich „Administratoren“ (Sonderbeauftragte für die Seelsorge) für die deutschen Ostprovinzen ernannt und die Grenzen der Kirchenprovinzen nicht geändert, um einer völkerrechtlichen Entscheidung über die staatliche Zugehörigkeit der Ostprovinzen nicht vorzuzureifen. Eine ausdrückliche Bestätigung dieser Haltung, die der Oder-Neiße-Linie selbst als Verwaltungsprovisorium eine Anerkennung verweigert, findet sich auch im „Osservatore Romano“, der vatikanischen Zeitung, vom 1. Oktober 1952.

Zachodnio-niemiecki tygodnik odwetowy „Ost-West-Kurier“ w numerze 43 z października 1953 roku donosi:

WATYKAN A SPRAWA ODRY-NYSY

MONACHIUM. Doniesienia prasowe ostatniego okresu mogą budzić wrażenie, jakoby Watykan mianował biskupów dla obszarów nad Odrą i Nysą. Z kół kościelnych informują nas jednakże, że nic podobnego nie nastąpiło. W umowie z kwietnia 1950 roku, zawartej między episkopatem polskim a rządem warszawskim, ten ostatni domagał się, by episkopat polski wystąpił wobec Rzymu z żądaniem mianowania stałych biskupów dla obszarów nad Odrą i Nysą. Kuria papieska jednakże mianowała tylko „administratorów“ (specjalnych pełnomocników do spraw duszpasterstwa) i nie zmieniła granic prowincji kościelnych, ażeby nie uprzedzać ostatecznej decyzji w sprawie przynależności państwowej wschodnich prowincji. Stanowcze potwierdzenie tego stanowiska, które odmawia uznania linii Odry-Nysy nawet jako administracyjnego provizorium, znajdujemy również w organie watykańskim „Osservatore Romano“ z dnia 1 października 1953 roku.

Krótko mówiąc, wbrew wszelkim pogłoskom, rozpowszechnianym przez obrońców Watykanu i b. prymasa Wyszyńskiego, papież nadal kwestionuje granice na Odrze i Nysie i odmawia mianowania stałych biskupów na Ziemiach Zachodnich. Co z satysfakcją stwierdzają odwetowcy zachodnio-niemieccy, nazywający te ziemie „prowincjami wschodnimi“.

DROGOWSKAZY ODWETU

Zwycięstwo wyborcze Adenauera podnieciło organizatorów hecy rewizjonistycznej w Niemczech. Oto opasany przez adenauerowców i socjaldemokratów Senat zachodniego Berlina polecił wystawić na ulicach „drogowskazy“ o prowokacyjnych napisach:



ZU DEN UNERREICHBAREN ZIELORTEN der Fernverkehrsstraßen 1, 2 und 5 führen die neuangebrachten Kilometerschilder, die der Westberliner Senat über den Propaganda-Etat verbucht.

„Koenigsberg“ to oczywiście Kaliningrad, „Danzig“ to Gdańsk, „Breslau“ to Wrocław, a „Gleiwitz“ — Gliwice. Ze zaś „drogowskazy“ te nie mają nic wspólnego ze wskazywaniem drogi, lecz są propagandą odwetu i rewizjonizmu, świadczy fakt, iż koszt ich budowy pokryty został z funduszy przeznaczonych na propagandę. Stwierdza to otwarcie zachodnio-niemiecki tygodnik „Der Spiegel“ z dn. 7 października rb., skąd zaczerpnęliśmy powyższe zdjęcie.



Erich von Stroheim w filmie „Alarm na południu“.



Erich von Stroheim w roli oficera pruskiego.

Okropnie lubią filmy wojenne i zachlęstują się entuzjazmem, ilekroć na ekranie pojawi się mundur Wehrmachtu lub hitlerowska swastyka. Ale gdy tylko film zawiera odrobinę prawdy o zbrodniarzach wojennych — wpadają w istny szal. Szal taki ogarnął właśnie prasę zachodnio - niemiecką z powodu filmu francuskiego „Alerte au Sud“ (Alarm na południu), ukazującego okrutne zachowanie się hitlerowskich oficerów podczas wojny.

Rolę brutalnego oficera pruskiego gra w tym filmie znany aktor Erich von Stroheim. „Dość tego, panie Stroheim!“ — woła oburzona prasa zachodnio-

niemiecka. „Najwyższy czas, by pan Erich von Stroheim zniknął raz na zawsze z ekranów kin niemieckich“ — pisze reakcyjny tygodnik „Revue“, ukazujący się w Monachium (nr. 42 z 17 października 1953), a zajmujący się ze szczególnym upodobaniem gloryfikacją hitlerowskiego Wehrmachtu i jego generałów.

Pokazywanie na filmie rzeczywistego oblicza hitlerowskiego Wehrmachtu jest odwetowemu tygodnikowi szczególnie nie na rękę, gdyż godzi w plany tworzenia „armii europejskiej“, w której oficerowie typu odtworzanego przez Stroheima, odgrywać mają czołową rolę.

OŚ W-W PRZECHODZI PRZEZ MADRYT



Krwawy kat ludu hiszpańskiego, gen. Franco, awansował w tych dniach do roli głównego zwornika „Osi Watykan—Waszyngton“. Oto jednocześnie niemal jego minister spraw zagranicznych, Martin Artaño, podpisał dwa dokumenty: pakt przyjaźni ze

Stanami Zjednoczonymi (zdjęcie górne) oraz konordat z Watykanem (zdjęcie dolne). Przyjaciel Hitlera i Mussoliniego zajął w ten sposób należne sobie miejsce na „Osi W—W“, która ma zastąpić dawną „Oś Berlin — Rzym“.



PRAWIE przy każdym spotkaniu z literatami czytelnicy skarżą się na brak książek o tematyce sportowej. I słusznie! Sport w życiu kraju odgrywa rolę olbrzymią, a w literaturze jeszcze ciągle traktuje się go jak kopcuszkę. Literaci kibicują gorliwie przy wszystkich zawodach sportowych, na meczach piłki nożnej drą się jak opętani, terminologię i chwytły sportowe przenoszą niekiedy nawet do dyskusji literackich — a do pisania o sporcie jakoś się nie kwapią. I dziwić się tu później, że nasi sportowcy nie zawsze odnoszą międzynarodowe sukcesy, jeżeli literatura — „inżynier dusz“ — umywa ręce od udziału w krzepieniu ducha sportowego w narodzie.

Na szczęście zdarzają się wyjątki. Jednym z nich jest wydana niedawno przez „Iskry“ nowa książka Witolda Zalewskiego p.t. „Na wirażu“.

Witold Zalewski od trzech lat kroczy w czołówce młodego pokolenia pisarskiego. Zadebiutował w roku 1950 tomem opowiadań z życia powojennej wsi p.t. „Traktory zdobędą wiosnę“. Jak się okazało, owe „Traktory“ zdobyły nie tylko wiosnę, lecz także szeroki rozgłos wśród czytelników i Państwową Nagrodę Artystyczną dla autora. Później Zalewski wydał jeszcze powieść partyzancką p.t. „Broń“, a ostatnio od dłuższego już czasu siedzi po uszy w pracy nad nową dużą powieścią z życia wsi. Książka „Na wirażu“ wyskoczyła spod pióra autora „Traktorów“ nadprogramowo i zupełnie nieoczekiwanie.

Jest to niewielki, liczący niespełna dwieście stron druk, tom opowiadań o tematyce sportowej. Tematykę opowiadań określam jako sportową, ale to wcale nie znaczy, że Zalewski skupia swe zainteresowania wyłącznie na sporcie. Dobra książka ma za przedmiot zawsze życie w różnorodnym bogactwie jego przejawów i nie ogranicza się nigdy do oderwanej pojedynczej działalności ludzkiej, jak sport, budowanie domów, fabrykacja cukru, czy akcja skupu zboża. W książce „Na wirażu“ wszyscy bohaterowie namiennie uprawiają sport i ten sport odgrywa poważną, niekiedy decydującą rolę w ich życiu. Ale problemy sportowe nie występują nigdy samodzielnie, lecz tkwią mocno w całokształcie życiowych spraw postaci z książki.

Tenis w opowiadaniu „Cena sławy“ jest atutem w wielkiej grze ambicji życiowych młodego „gwiazdora“ sportowego. Walka sportowa Pawła z członkami klubu oficerskiego jest jednocześnie walką klasową. Ostateczne wycofanie się Pawła ze sportu wynika konsekwentnie z jego „nie sportowego“ zagrania w życiu. Porażka bokserska bohatera drugiego opowiadania, Maćka Nowaka, ma swe psychologiczne podłoże w jenieckiej przeszłości młodego boksera. U „krowiego mocarza“ z opowiadania „Przy granicy“ ambicje sportowe zespala się z dążeniem do awansu społecznego. Opowiadanie „Bramkarz Francesco“ jest w większym stopniu radosną pochwałą solidarności i braterstwa ludzi różnych narodów — niż opowiadaniem o piłce nożnej.

Ale Zalewski, splatając ściśle sport z życiem, w niczym nie osłabia sportowej specyfiki swoich opowiadań. Sportowy klimat przesyca wszystkie strony książki. Zalewski jest sportowcem z zamiłowaniem. Unikając bakalarskiej dydaktyki i posługując się wyłącznie środkami artystycznymi — umie pokazać czytelnikom wszystkie najistotniejsze wartości sportu, a zarazem ostrzec ich przed jego wypaczeniami. Same zawody sportowe są przedstawione w książce w taki sposób, że muszą rozgrzać najchłodniejszego kibica.

W całości książka „Na wirażu“ — choć wypada z zasadniczego nurtu twórczości autora „Traktorów“ i nie ma tak ambitnych założeń — stanowi krok naprzód w rozwoju artystycznym pisarza. Zalewski uszlachetnił język swej prozy ładną i świeżą metaforą, pogłębił rysunek psychologiczny postaci (Paweł z „Ceny sławy“) i uściślił konstrukcję opowiadań. Jedynie w opowiadaniu „Błąd Maćka Nowaka“ — gdzie wątek bezpośredni krzyżuje się z wątkiem wspomnieniowym — znać jeszcze pewną nieporadność artystyczną. W interesie młodych czytelników „Na wirażu“ muszą także sprostować historycznie mylny pogląd Zalewskiego, jakoby sławny reformator czeski, Hus, oblegał zamki śląskie. Hus — jak uczy historia — walczył tylko słowem. Za oręż chwycili dopiero jego późniejsi wyznawcy — husyci Wuj Gordiasz z opowiadania „Przy granicy“ twierdzi wprawdzie, że tę informację o Husie wyczytał w starej książce niemieckiej. Ale mało to różnych nieprawdziwych bzdur wypisywano w starych książkach niemieckich?

Poważniejsze pretensje niż do wuja Gordiasza mam do wydawnictwa „Iskry“ za tzw. szatę zewnętrzną książki „Na wirażu“. Przy innych książkach wydanych ostatnio przez „Iskry“ — „Na wirażu“ ze swoją bledziutką, wiotką okładziną i ze swymi bledziutkimi ilustracjami — prezentuje się rażąco ubogo. Proszę, niech „Iskry“ mi wytłumaczą, dlaczego wartościowa i nowa pozycja współczesnego pisarza polskiego ma słabiej przyciągać oko młodego czytelnika niż takie niezawodne „pewniaki“ jak „Wyspa skarbów“ czy „Przygody Tomka Sawyera“? Oceniając rzecz w kategoriach sportowych, jest to ze strony wydawnictwa „faul“ nie do darowania.

TEATR ŚWIAT

Dyrekcja: JAN SZELĄG
Dekoracja i kostiumy: HA-GA

WIESŁAW BRUDZIŃSKI

KONTREDANS

Sztuka w trzech odsłonach

ODŚLONA I

DYREKTOR: Z produkcją jest dobrze, ale praca w naszym biurze, kolego personalny, wyraźnie kuleje, zwłaszcza w dziale finansowym.

KIER. PERS.: Tak? No to przeniesiemy do finansowego Czupurka z kartoteki. Mgr Chrzastka z finansowego pójdzie do sekretariatu na miejsce Fustuły. Fustułę damy do referatu planowania, a Pyffelski z planowania przejdzie do zaopatrzenia zamiast Buchalskiego.

DYREKTOR: A co zrobimy z Buchalskim?

KIER. PERS.: Buchalski pójdzie do kartoteki na miejsce Czupurka i zaraz robota pójdzie aż miło. Na jednym miejscu człowiek tylko śnie-dzieje...

ODŚLONA II

(po trzech miesiącach)

DYREKTOR: Znowu kłopot z tym biurem. W kartotece u Buchalskiego są straszne zaległości, a i reszta działów nie nadąża.

KIER. PERS.: Nie ma zmartwienia. Przeniesiemy do kartoteki Pyffelskiego z zaopatrzenia, na jego miejsce damy Czupurka z finansowego, na miejsce Czupurka Fustułę z referatu planowania, a do referatu planowania przeniesiemy mgr. Chrzastkę z sekretariatu.

DYREKTOR: No dobrze, a co zrobimy z Buchalskim?

KIER. PERS.: Buchalskiego damy do sekretariatu zamiast mgr Chrzastki i robota pójdzie aż miło. Na jednym miejscu człowiek tylko śnie-dzieje...

ODŚLONA III

(po sześciu miesiącach)

DYREKTOR: W naszym biurze są nieporządki! Sekretariat gubi pisma, zaopatrzenie nawala. Co tu robić?

KIER. PERS.: Rzecz jest całkiem prosta, na jednym miejscu człowiek tylko śnie-dzieje. Damy do sekretariatu Fustułę z finansowego, do finansowego przeniesiemy



Chrzastkę z planowania, referat planowania obejmie Pyffelski z kartoteki, na jego zaś miejsce pójdzie Czupurek z zaopatrzenia.

DYREKTOR: A co zrobimy z działem zaopatrzenia?

KIER. PERS.: Dział zaopatrzenia obejmie Buchalski, którego przeniesiemy tymczasem z sekretariatu.

DYREKTOR: No, dobrze, ale tym sposobem wszyscy znajdują się na tych samych miejscach, z których wzięliśmy ich przed pół rokiem!

KIER. PERS.: Tak? To świetnie! Przynajmniej są obeznani z tą pracą!

KURTyna

NOWE KSIĄZKI

Na rynku księgarskim ukazały się niedawno następujące nowości wydawnicze z zakresu prozy polskiej:

JERZY PUTRAMENT — „Rzeczywistość” (Czytelnik tom I—II str. 202 i 228, zł 4,80) — trzecie wydanie powieści, która zdobyła masowego czytelnika, interesującego się stosunkami politycznymi w Polsce lat międzywojennych. Treścią powieści są dzieje radykalnej młodzieży wileńskiej, grupującej się przy swym wybitnym przywódcy Henryku Dembińskim (w powieści — „Jasiński”) i piśmie „Po prostu” (w powieści — „Rzeczywistość”). By złamać bojową postawę tej młodzieży, osławiona „defensywa” nie cofa się przed aresztowaniami i brutalnymi metodami gwałtu. Powieść Putramenta demaskuje policyjny system prowokacji, za pomocą którego rząd sanacyjny usiłował sparażować walkę społeczno-wyzwoleńczą proletariatu i sympatyzującej z nim inteligencji pracującej.

JANINA DZIARNOWSKA — „Miasto nowych ludzi” (Czytelnik, str. 406, zł 19.—) — powieść, której tematem jest odbudowa i organizacja życia w jednym z miast Ziem Odzyskanych w okolicy Szczecina. Na tle zrujnowanego działaniami wojennymi miasta, będącego łupem szabrowników, autorka pokazuje kolektyw ludzi, prowadzących pionierską pracę, polegającą na przekonaniu osiedleńców o trwałości władzy Polski Ludowej na tych ziemiach. Galeria postaci w powieści jest bardzo różnorodna: są tacy, którzy świadomie podjęli się pięknego, pionierskiego trudu, inni szukają w wirze nowych zadań zapomnienia własnych okupacyjnych krzywd, niektórzy pragną w niezorganizowanym mieście zrobić przede wszystkim majątek. Autorka potrafiła udokumentować tezę, że człowiek, chcący szczerze budować nową Polskę, musi przejść z pozycji obserwatora na pozycję człowieka o zdecydowanych przekonaniach politycznych.

Drodzy Czytelnicy!

„W związku z nr. 41 tygodnika „Świat” pragnę zwrócić uwagę na przykrą omyłkę, jaka się wkraśliła do artykułu Stanisława Strumph-Wojtkiewicza „Na płonącym ołtarzu wyzwolenia Polski”.

Chodzi tu o błędną datę listu Andrzeja Potiebnia z obozu w Pieskowej Skale. Jeśli autor podaje datę listu 30 marca 1863 r., a nie podaje dokładnej daty śmierci, to czytelnik wyciąga logiczny wniosek, że Potiebnia musiał zginąć po 30 marca. Tymczasem sprawa przedstawia się zgoła inaczej.

Andrzej Potiebnia przybył do Pieskowej Skali z oddziałem Langiewicza w dniu 2 marca, ażeby odpocząć po kilkudniowych marszach. Odpoczynek był niedługi, gdyż 4 marca nadeszły oddziały wojsk rządowych, z którymi oddział Langiewicza stoczył w okolicy zamku Mieroszewskiego ostre utarczki i podążył do Skali. W nocy z 4 na 5 marca oddział Langiewicza zaatakował na cmentarzu w Skale oddział wojska rządowego pod dowództwem Stolzenwalda. W ataku brał udział Andrzej Potiebnia. Przebieg walki według Zielińskiego „Bitwy i potyczki 1863—1864” (Rapperswil 1913) był następujący:

„Posławszy po więcej piechoty, zorganizował (Langiewicz) niespodziewany napad z dwóch stron na obozujących. Tymczasem jedna z jego pikiet, podszedłszy na sto kroków pikietę moskiewską, trzema strzałami położyła 3 żołnierzy i zaalarmowała w ten sposób za wcześnie obóz nieprzyjacielski. Moskale byli więc już przygotowani do odparcia ataku. Tyralierzy rozsypani w dwie linie, a kosynierzy z dwóch stron poszli do szturm na cmentarz, zajęty przez Moskale. Prowadzeni osobiście przez Langiewicza i pułkownika Antoniego Jeziorańskiego, powstańcy przez 1200 kroków biegli pod gradem kul moskiewskich i z małymi stratami doszli pod mur cmentarny, lecz w ostatniej chwili fałszywa wieść, że Moskale zajmują tyły, odwróciła ich od muru.

Rozpoczął się znowu bój strzelców. Po trzygodzinnej walce Moskale, zostawiając tabor, a nawet kotły do gotowania, uciekli, atakowani przez konne pikiet powstańcze i zatrzymali się dopiero w Mlechowach. Langiewicz zaś pomaszerował do Goszczy. Polaków poległo w Skale 23... Między poległymi powstańcami znajdował się Potiebnia... Ugodzony kulą w piersi, umarł wkrótce w domu cmentarnika”.

A więc Andrzej Potiebnia zginął w dniu 5 marca 1863 roku. Z tej racji niemożliwa jest data jego listu z dnia 30 marca 1863 r.

List pisał prawdopodobnie 3 marca, kiedy mieli dzień wolny, obozując w Pieskowej Skale”.

Jan Makaruk
Warszawa, Joteyki 13 m. 28.

Dziękujemy za spostrzeżenie co do daty listu Potiebnia w artykule pt. „Na płonącym ołtarzu wyzwolenia Polski”. Błąd zakradł się już do pracy Józefa Kowalskiego „Rewolucyjna demokracja rosyjska a powstanie styczniowe”, który cytował ów list Potiebnia na podstawie zapisków M. Gogolewa, carskiego zandarma. Rzecz jasna, że Potiebnia list napisał przed swą śmiercią, a więc zapewne dn. 3 (a nie 30) marca 1863 r. — jak to słusznie Pan przypuszcza.

St. Strumph-Wojtkiewicz

LENGREN



— Możemy już wyjść — przejechał...

WODA NA MŁYN

Bokończenie ze str. 15

1952 roku na „maszynę do omłotu konicyny oraz usuwania łuski i mielenia wszelkiego rodzaju ziarna, materiałów organicznych i minerałów”, widziałem papierki, papierki, formularze, podania, załączniki, świadczące o długiej drodze wynalazcy po różnych urzędach i biurach, lecz nie ujrzałem jeszcze chleba z tej maki: sfinalizowania badań i ruszenia produkcji maszyn pomysłu Konstantego Hana. Ciekawe, że główną opozycję wobec tego nowego pomysłu stanowią... młynarze.

„Są sędziowie w Berlinie” — powiedział pokrzywdzony młynarz królowi Fryderykowi Wielkiemu. „Są światli ludzie w Warszawie” — musi powiedzieć młynarzem pokrzywdzony wynalazca. Dobrze się stało, że sprawę wziął w swe ręce Centralny Instytut Rolnictwa. Mamy prawo wierzyć, że stworzy on Hanowi warunki do dalszej pracy i do zapięcia wynalazku na ostatni guzik.

STARY CZŁOWIEK I NOWY POMYSŁ

A trzeba mu przecież tak niewiele. Późną jesienią roku 1953 ten człowiek mówił mi w jesieni swego życia o przejściu o swej sprawie. „Wiem, że maszyna moja nie jest może jeszcze doskonała i że przy dobrym założeniu ogólnym muszę usunąć jej drobne usterki. Potrzebna mi jest pomoc inżynierów-konstruktorów i doświadczonych mechaników; jestem przekonany, że tak pokochają moje dzieło, jak ja sam je kocham. Potrzebne mi są materiały kwasoodporne do budowy

ulepszonych prototypów maszyn, gdyż ta w Starym Polu — to tylko improwizacja ze szmelcu. Potrzebne mi są...”

Krótką jest ta lista. Trzeba zrozumieć — bez żadnych sentymentów — sens tej całej sprawy. Tu chodzi nie tylko o urzeczywistnienie życiowych marzeń jednego starca, tu chodzi o poprawę zaopatrzenia ludności — zarówno przez znacznie lepsze pieczywo, jak i podniesienie produkcji mięsa i mleka. Tu chodzi o nieobliczalne możliwości w dziedzinie uprawy buraka cukrowego i w przemyśle chemicznym oraz górniczym.

W ZSRR doskonale sobie zdają sprawę ze znaczenia poprawy jakości pieczywa. Przemawiając 17 października, minister handlu A. I. Mikołaj powiedział:

„Równoległe z polepszeniem asortymentu chleba, realizuje się od października br. szereg poczynań w kierunku dalszego podniesienia wartości odżywczej i polepszenia jakości chleba i maki. Przez zwiększenie zawartości węglowodanów, pożytecznych soli mineralnych i substancji białkowych wzrośnie znacznie kaloryczność chleba. Zostanie wprowadzony cieńszy przemiał maki, co polepszy stopień asymilowania przez organizm chleba, wypiekanych z tej maki”.

Właśnie w tym kierunku poszedł Konstanty Han. Chcielibyśmy, aby nasze słowa były... wodą na jego młyn — aby teraz dano temu wynalazcy to, na co on czeka: wiele dobrej woli i zrozumienia.

LUCJAN WOLANOWSKI

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

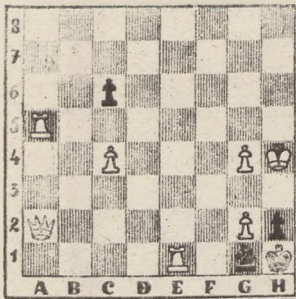
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Włókiendrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 694. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 4-B-21515
Podpisano do druku dnia 4.XI.53.

SZACHY

A. Gulajew



Mat w 3 posunięciach

PARTIA NR 83

grana podczas turnieju kandydatów w Szwajcarii

Obrona nowolindyjska

Białe: Stahlberg (Szwecja)

Czarne: Tajmanow (ZSRR)

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c2-c4 e7-e6 3. Sg1-f3 b7-b6 4. g2-g3 Gc8-a6 5. Hd1-a4

Posunięcie to jest niezbyt szczęśliwe. Silniejsze było 5. b3

5... Gf8-e7 6. Gf1-g2 0-0 7. Sb1-c3 c7-c6 8. Sf3-e5 Lepiej było najpierw zroszować, a dopiero potem rozpoczynać akcje zaczepne.

8... Hd8-e8! 9. 0-0 d7-d5 10. Wf1-e1 b6-b5

Wchodziło również w rachubę 10... G:c4 11. S:c4 b5

11. c4:b5 c6:b5 12. Ha4-d1 b5-b4 13. Sc3-b1 Sb8-c6 14. Se5:c6 He8:c6 15. Sb1-d2 Hc8-b6 16. e2-e3 Wa8-c8 17. Gg2-f1 Wc8-c6 18. Gf1:a6 Hb6:a6

Wymianą tą białe nie tylko nie poprawiły swojego położenia, ale osłabiły jeszcze w swoim obozie białe pola.

19. Sd2-f3 Wf8-c8 20. Hd1-b3 Sf6-e4 21. Sf3-d2 Wc6-c2 22. Sd2:e4 d5:e4 23. a2-a3 h7-h5

24. d4-d5 Wc8-c4 25. We1-d1.

Białe nie chcą bić na e6, gdyż obawiają się sprowadzić nieprzyjacielskiego hetmana na królewskie skrzydło.

25... e6:d5 26. Gc1-d2 Ha6-f6 27. Wa1-b1 h5-h4 28. Hb3-a4 Hf6-f5 29. Ha4:a7 Ge7-f8 30. Ha7-b8 g7-g5 31. g3:h4 g5:h4 32. Hb6-f4 Hf5:f4 33. e3:f4.

Białym udało się wymienić hetmana, ale pozycja w dalszym ciągu jest fatalna.

33... d5-d4 34. b2-b3 Wc4-c6 35. a3:b4 f7-f5 36. h2-h3 Wc6-a6 37. Wb1-c1 Wc2:c1 38. Wd1:c1 Wa6-a2 39. Gd2-e1 Wa2-b2 40. Kgl-g2 Wb2:b3 41. Wc1-c8?

Posunięcie to przyspiesza koniec, ale pozycja i tak już jest przegrana.

41... Wb3-b1 42. Ge1-d2 e4-e3!

Białe poddały się, gdyż po 43. f:e3 Wb2 tracą figurę.

MECZ SZACHOWY „ŚWIAT”-CZYTELNICY

W partii W1 najwięcej głosów (39,6%) padło na posunięcie 42... f7-f5, gdy ruch 42... f7-f6 uzyskał 32,3%. W partii W206 duża większość Czytel-

ników (78,4%) zdecydowała odejść królem na e7.

Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji partie nasze wyglądają następująco:

Ogłaszamy kolejną listę nagrodzonych uczestników meczu szachowego „Świat” - Czytelnicy:

Za trafność

Jan Marcinkiewicz, Otwock; Sieroszewski, W-wa; Tadeusz Socha, Clechocinek; Brunon Janusiewicz, Sobieszów (pow. Jelenia Góra).

Za wytrwałość

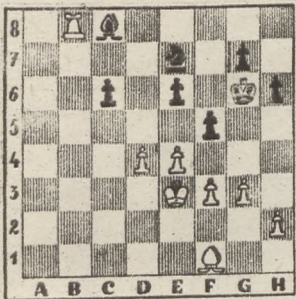
Jerzy Zabiegliński, Gołębki k/W-wy; Józef Sobiczewski, W-wa; Władysław Paleski, Chorzów; Tadeusz Płoński, Błogoraj; Roman Terlikiewicz, Chorzów.

Za oryginalność

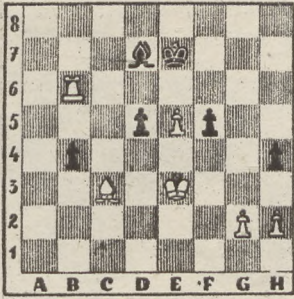
Stefan Jóźwiak, Poznań; K. Zabłocki; Jarocin; Stefan Szumiel, Łódź.

PARTIA W1

PARTIA W200



41. f2-f3 Kh7-g6
42. Kgl-f2 f7-f5
43. Kf2-e3



41. Wc7-b7 Sa5-b4
42. Wb7-b6+ Ke6-e7
43. Gd4:c4

Przypominamy, że odpowiedzi na 43 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek 10 listopada br.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

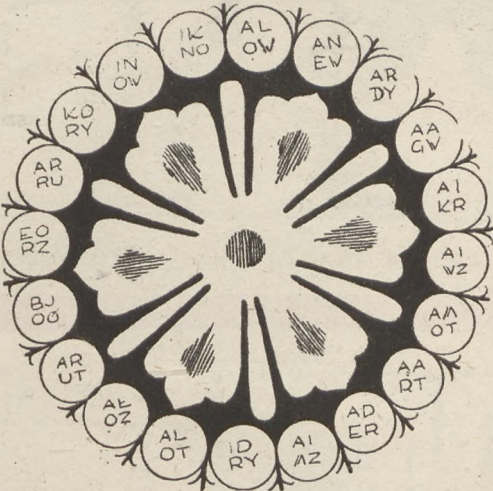
SKŁADANKA

Z liter umieszczonych w poszczególnych kółkach należy ułożyć 20 czteroliterowych wyrazów. Po prawidłowym odnalezieniu ich litery początkowe dadzą rozwiązanie. Początek odczytywania rozwiązania do odgadnięcia.

(„Dąb-ski” — Olsztyn.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną

nagrody książkowe



TANIO i ŁADNIE



PAMIĘTAJ, ŻE...



układ brwi w znacznym stopniu określa Twoją indywidualność. Ołówki do brwi „URODA”



jeszcze bardziej ją uwydatnią i podkreślą charakterystyczny wyraz Twojej twarzy.

RADZIECKI PLAKAT REWOLUCYJNY

Z WYCIĘSTWO REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ wciągnęło do aktywnego życia politycznego w młodej Republice Rad miliony robotników i chłopów, którzy nie tylko stali się — po raz pierwszy w swym życiu — pełnoprawnymi obywatelami, ale musieli wziąć na swe barki sprawę urządzania swego państwa. „Nie łatwo jest przyciągnąć — pisał w roku 1919 Lenin — do pracy państwowej szeregowych robotników i chłopów, których w ciągu stuleci gnębili i straszili obszarnicy i kapitaliści. Tę jednak właśnie niełatwą pracę musimy, koniecznie musimy wykonywać...”

W tej niełatwej pracy ogromną pomocą dla partii bolszewickiej był rewolucyjny plakat. Plakat, który umiał przemówić do najmniej wyrobionego widza, który potrafił przekonać, ośmieszyć wroga, wyjaśnić istotę ważnej akcji politycznej i do niej mobilizować. Radzieccy graficy tego okresu (Deni, Majakowski, Moor i inni) taki właśnie plakat stworzyli. Proste i mocne rysunki powstawały nie w ciszy wygodnych pracowni, ale w ogniu walki z wrogiem wewnętrznym i interwencją, z niedostatkiem i ciemnotą. I dzięki temu posiadały one tę prostotę i patos rewolucyjny, który im dał niezniszczalną siłę oddziaływania.

(ek)



III MIĘDZYNARODÓWKA

rys. W. Deni



rys. W. Deni

NA MOGILE KONTRREWOLUCJI



rys. M. Kogout

Bronią dobyliśmy wroga, praca zdobędziemy



rys. A. Radakov

Analfabeta — to jak ślepy, wszędzie czekają go

КТО ЗА СОВЕТЫ



КТО ПРОТИВ СОВЕТОВ



КТО ЗА ВЛАДУ РАД — КТО ПРОТИВ РАДОМ

rys. D. Moor